

4,20
ZŁ
W TYM
8% VAT

Nr 2353-6160

Nr indeksu 350-028



9 772353 616054



Piątek 27 listopada 2020

rejsy

Dziennik Bałtycki

75 lat

REJSY

Czym dzisiaj żyje polskie kino? To pytanie przed każdym festiwalem filmowym w Gdyni wraca jak bumerang

Strony 14-15

REJSY

Gdzie podziewa się Janusz Palikot? Kilka lat temu odszedł z polityki i zainwestował w podkrakowski browar

Strony 18-19

POLSKA BABCIA: DOPADŁO NAS 30 POLICJANTÓW, BYŁYŚMY WECZTERY

Rejsy

Strony 12-13

My policjantów znamy, wcześniej jednak nas chronili i byli nastawieni do nas przyjaźnie. Ale w ostatnich dniach funkcjonariusze brutalnie reagowali w czasie pokojowych protestów, było kilka takich przypadków. Zastanawiam się, czy oni rzeczywiście zgadzają się na taką, ostrzejszą, formę interwencji. Byłabym ostrożna w krytykowaniu policji – mówi Iwonna Kowalska z ugrupowania Polskie Babcie



FOT. POLSKIE BABCIE / FACEBOOK

Magazyn Rejsy



W świecie „starego kina” to prawdziwa sensacja!

strony 8-9

Wspomnienie

Był opoką Teatru Miniatura. Kochał scenę i życie

strony 20-21

Historia

Pewnego listopadowego dnia, czyli Himmler na Pomorzu

strony 22-23

REKLAMA



Pilnuj swoich spraw

Chroń majątek

Porozmawiaj o tym z notariuszem



DZIEŃ OTWARTY NOTARIATU 2020

28 listopada 2020 r., godz. 10-16

Zadzwoń: 58 727 30 41

Sprawdź na: porozmawiajznotariuszem.pl

069942340

Przed nami czas bycia razem - na innym niż zwykle poziomie. Oby się udało

Mariusz Szmidka
redaktor naczelny
m.szmidka@prasa.gda.pl



Komentarz

W czasach trudnych, nadzwyczajnych i nieprzewidywalnych, a w takich żyjemy, wydaje się, że czas biegnie szybciej niż w rzeczywistości. W najbliższą niedzielę rozpoczyna się czas adwentu, czyli przygotowywania się i oczekiwania na święta Bożego Narodzenia.

Klimat tego czasu znacząco będzie inny od tych dotychczasowych. Jak wszystko do tej pory, będzie naznaczony zarazą, obostrzeniami, strachem przed zachorowaniem, obawami przed utratą pracy, ale też nadzieją. Nadzieją na lepszy czas, na lepszą strategię walki z koronawirusem, na wprowadzenie do obrotu skutecznej i bezpiecznej szczepionki i na stabilność - w życiu społecznym i gospodarczym. Bo w tym politycznym - nie mam złudzeń, niewiele się zmieni. Politycy są tak oderwani od rzeczywistości, że nadal będą trwać w swoich plemiennych sporach, wzajemnych bezpardonowych atakach, prowokacjach i zachwaszczaniu polszczyzny. Dalej będą grzęznąć w błocie nienawiści. Ubolewam nad tym bardzo.

Na szczęście zwykli Polacy zaczynają dostrzegać, jak bardzo wybrani przez nich parlamentarzyści zajmują się sobą, zamiast dbać o szeroko pojęte dobro społeczeństwa, w tym bezpieczeństwo zdrowotne obywateli, ale też socjalne i publiczne. Najlepiej robić swoje, ale też nie dać sobie wmawiać kłamstw serwowanych nie tylko przez polityków.

Robić swoje, znaczy robić najlepiej jak umiemy, to do czego zostaliśmy powołani, to co robimy zawodowo, prywatnie, rodzinnie, społecznie.

Choć nie jest to łatwe, to jednak warto pochylić się nad sobą, znaleźć w sobie tyle siły, żeby stawać się lepszym. Znaleźć czas na przemyślenie wszystkiego w ciszy.

Czas adwentu i przygotowań do tych najbardziej rodzinnych świąt Bożego Narodzenia powinien temu sprzyjać. Mimo obaw, jak te święta w tym roku ostatecznie będą wyglądały. Czy spędzimy je w ograniczonym rodzinnym gronie ze względu na zagrożenie koronawirusem, czy będziemy się komunikować zdalnie, czy będą ograniczenia w przemieszczaniu się, kolędowaniu. To jest taki czas w roku, kiedy warto się zatrzy-

mać na chwilę, zastanowić, po co żyjemy. Pomimo przeciwności losu, pomimo pandemii, pomimo kłopotów z utrzymaniem firm i pomimo że wokół wszystko mocno się, niestety, komercjalizuje.

Warto złapać oddech od kierunku codzienności. Dla mnie - mimo tego wszystkiego, co wokół nas się dzieje - rodzinna tradycja umacnia poczucie bliskości, pozwala wyrwać się od naporu codzienności, innego spojrzenia na życie. Staram się dobrze przeżyć ten czas i dostarczyć bliskim i sobie głębszych treści. Wiadomo, że prezenty pod choinkę trzeba będzie kupić. Zresztą w kupowaniu nie ma niczego złego, ale jest to bardzo powierchowna forma przygotowania się do świąt. Sprzyja temu wzajemna życzliwość w relacjach w pracy, między sąsiadami, znajomymi. To daje nadzieję, że nie damy się zniewolić nieustannemu pędowi za karierą, za pieniędzmi, a nawet lajkami.

Choć nie jest to łatwe, to jednak warto pochylić się nad sobą, znaleźć w sobie tyle siły, żeby stawać się lepszym. Pięknie, jeśli mamy w sobie tyle siły, by umieć wybaczyć tym, którzy sprawili nam przykrość. Nie skupiać się na tym, co złe i wyniszczające.

Adwent to czas zatrzymania się, bycia razem na innym niż zwykle poziomie. Warto też znaleźć kilka minut na refleksję, przemyślenie wszystkiego w ciszy.

© P

Grudzień wita chłodem, ale nie na biało

Siedem i sześć stopni dziś i jutro, to ostatnie jesienne akcenty temperatury w tym roku. Od niedzieli słupek rtęci opadnie w okolice zera stopni Celsjusza, a nocami nawet poniżej. Znak, że grudzień tuż-tuż. Jednak spektakularnych chłódów obawiać się w tym roku nie powinniśmy. Zdaniem synoptyków w grudniu odnotujemy wprawdzie kilka dni bardzo zimnych, a nawet mroźnych, ale przeważą dni niezbyt chłodne i dość mokre. Śniegu będzie jak na lekarstwo - także pod koniec grudnia i na początku 2021 r. A zatem święta raczej zielone niż białe, co jednak - w kontekście pandemii - nie wydaje się największym powodem do zmartwienia. Styczeń, według prognoz, też będzie raczej ciepły, dopiero luty i marzec zapowiadają się bardziej śnieżne i mroźne.

Sobota

Magazyn Rodzinny

Kinga Rusin docenia moc kobiet, ale i siłę partnerskiego związku



Sobota

Andrzejkowa kuchnia

Ciasteczka z wróżbą, przekąski - pobaw się magią w andrzejki



Poniedziałek

Magazyn sportowy

Czy piłkarze gdyńskiej Arki poradzą sobie w Łodzi w meczu z Widzewem?



Pogoda na weekend

Piątek

7°C
3°C



Ciśnienie
1019 hPa
Wiatr
płn.-zach. 14 km/h
Uwaga!
Deszcz

Sobota

6°C
1°C



Ciśnienie
1026 hPa
Wiatr
płn.-wsch. 17 km/h
Uwaga!
Zachmurzenie umiarkowane

Niedziela

3°C
-2°C



Ciśnienie
1030 hPa
Wiatr
płn.-wsch. 14 km/h
Uwaga!
Deszcz ze śniegiem

WAŻNE TELEFONY:

800 190 590

- numer infolinii NFZ dotyczącej postępowania w sytuacji podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE - służy do powiadamiania o nagłych sytuacjach zagrożenia sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa czynna w dni powszednie od 7.0 do 15.00

PRENUMERATA „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

58 728 08 17

Prenumeratę można zamówić też za pośrednictwem urzędów pocztowych i w internecie

NOTOWANIA W KANTORACH

26.11.2020

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattan, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

USD	<< 370/385 <<
EUR	● 440/455 ●
SEK	>> 431/446 >>
GBP	<< 493/508 <<
CHF	<< 405/420 <<

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

USD	<< 370/385 <<
EUR	● 440/455 ●
SEK	>> 431/446 >>
GBP	<< 493/508 <<
CHF	<< 405/420 <<

USD - dolar amerykański, EUR - euro, SEK - koronaszwedzka, GBP - funt brytyjski, CHF - frank szwajcarski << spadają ceny do dnia poprzedniego >> wzrosty ● bez zmian za 100 jednostek

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

facebook.pl/dziennikbaaltycki.pl

k.uliczny@prasa.gda.pl

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego”.

Dzisiaj jestem dyżurnym reporterem i czekam na Państwa telefony i mejle.

Karol Uliczny
502 499 006



Sprawa terminu ferii nie jest przesadzona?

Polska

Ferie 2021 mają odbywać się równocześnie dla wszystkich uczniów z całej Polski. Ich termin wyznaczono na okres pomiędzy 4 a 17 stycznia 2021 roku. - Warto się nad tym jeszcze raz zastanowić i wypracować lepsze rozwiązanie - powiedziała PAP prof. Magdalena Marczyńska, specjalistka chorób zakaźnych wieku dziecięcego.



Rząd wyznaczył termin ferii pomiędzy 4 a 17 stycznia

Prof. Magdalena Marczyńska doradza rządowi w ramach działalności Rady Medycznej. W rozmowie z Polską Agencją Prasową odniosła się do decyzji w sprawie zmiany terminu ferii zimowych 2021. Jej zdaniem należy wprowadzić inne rozwiązanie niż kumulowanie ferii w jednym terminie dla wszystkich uczniów tuż po świętach.

Profesor Marczyńska twierdzi, że lepszym rozwiązaniem byłoby rozbić ferie na różne

terminy, ustalając je w styczniu, lutym i w marcu.

- Stanowisko całej rady jest takie, że warto się nad tym jeszcze raz zastanowić i wypracować lepsze rozwiązanie. Moim zdaniem ferie trzeba możliwie rozciągnąć w czasie - na okres np. stycznia, lutego i marca plus określić rejon, które będą miały ferie w tym samym czasie, może

niekoniecznie całe województwa. Może także zmniejszyć liczbę dostępnych w hotelach miejsc. To sprawi, że nie będzie tłumów, a wypoczynek zimowy na świeżym powietrzu jest dla rodzin konieczny - mówi. - Będziemy namawiali rząd do zmiany stanowiska. Już przekazaliśmy swoją opinię w tej sprawie do ministra zdrowia i mamy nadzieję, że nasz głos zostanie wysłuchany - dodaje.

Zwraca również uwagę na to, że tak długa izolacja dzieci i młodzieży może mieć dla nich negatywne skutki psychiczne.

- Edukacja zdalna przedłużona na cały grudzień, a później dodatkowo kolejne dwa tygodnie w zamknięciu w domach to rozwiązanie, które będzie miało - także z psychologicznego punktu widzenia - bardzo złe konsekwencje - podkreśla.

Według Magdaleny Marczyńskiej najmłodszy uczniowie mogliby wrócić do nauki już w grudniu. © P

HIV NIE DA SIĘ ROZPOZNAĆ PO WYGLĄDZIE

Średnio przez 8 – 10 lat
można żyć z wirusem HIV
bez żadnych objawów zakażenia.

Aby wykryć zakażenie HIV należy wykonać

test w kierunku HIV



Dowiedz się więcej na aids.gov.pl



MZ
Ministerstwo Zdrowia

Krajowe Centrum
ds.
AIDS
Agenda Ministra Zdrowia

KALENDARIUM

1835

W Gdańsku powstało Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Instytucja była organizatorem wystaw i inspirowatorem utworzenia Muzeum Miejskiego, któremu przekazała w depozyt swoje zbiory malarstwa. Towarzystwo działało do 1945 r.

1891

We Wdzydzach Kiszewskich (pow. kościerski) urodził się Alojzy Grulkowski, ps. Hindenburg, rolnik, działacz kaszubski, współpracownik ks. Józefa Wrycza. Podczas II wojny światowej samotnie prowadził przez radio propagandową walkę z okupantem hitlerowskim. Zmarł 5 kwietnia 1966 r.

1946

W Sopocie otwarto placówkę handlową Okręgowego Oddziału Mleczarsko-Jajczarskiego przy ul. Marszałka Rokossowskiego 29. Poświęcenia dokonał ks. proboszcz kościoła NMP w Sopocie.

1949

Dla uczczenia imienia wicedyrektora Zdzisława Kocharńskiego pracownicy kolportażu „Czytel-

nika” wpłacili w redakcji 2550 złotych na gwiazdkę dla biednych dzieci.

1950

Na skwerze przed dworcem morskim w Gdyni wzniesiony będzie pomnik Juliana Marchlewskiego, dłuta artysty rzeźbiarza Konstantego Lecha. Konstanty Lech wykonał niedawno płaskorzeźbę Marchlewskiego, która zdobi salę Politechniki Gdańskiej. Wysokość statuy wraz z cokołem wynosić będzie ponad 6 metrów - donosił „Dziennik Bałtycki”.

1956

Gdańska lekkoatletka Elżbieta Duńska-Krzesińska zdobyła złoty medal w skoku w dal na Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne w Australii. Osiągnęła wynik 6,35 metra.

1962

Wspólną decyzją MRN i ZM ZMS w Sopocie wprowadzono zakaz sprzedaży piwa w kawiarni „Teatralnej” i „Savoy” ze względu na przebywającą tam młodą klientelę, w większości uczniów klas starszych. (GA)

TWITT

Jak coś, to już wiadomo, gdzie JK można szukać... A poważniej: moim zdaniem poczucie bycia upokorzonym przez kobiety psychologicznie jest kluczem do ostatnich zachowań rządzących.

ANNA MIERZYŃSKA, DZIAŁACZKA SPOŁECZNA, KOMENTUJĄC INFORMACJĘ, ŻE 30 PAŹDZIERNIKA, W PRZEDEDNIU ZAPOWIADANYCH PRZEZ STRAJK KOBIET „DZIADÓW” POD DOMEM JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO, PREZES PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI ZOSTAŁ UBRANY W KAMIZELKĘ KUŁOODPORNĄ I WYWIEZIONY PRZEZ SVOICH OCHRONIARZY DO OŚRODKA SZKOLENIOWEGO W CZERWONYM BORZE KOŁO ŁOMŻY

ŚWIĘTA JEDNAK NIE ODWOŁANE!



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

W przestrzeni miejskiej zaczęły pojawiać się świąteczne drzewka. Na Długim Targu stała 17-metrowa choinka. Od 4 lat znajduje się w tym samym miejscu i niezmiennie cieszy oko gdańszczan. Ozdobiono ją 25 tysiącami ledowych lampek, 1400 bombkami i śnieżnymi rozetami. Już 5 grudnia, w przeddzień Mikołajek, Gdansk rozbłyśnie świątecznymi dekoracjami. W ośmiu dzielnicach miasta pojawią się udekorowane choinki. Jedną z nich, zlokalizowaną na Długim Targu, już stoi. Świąteczne iluminacje pojawiły się także m.in. przy Forum Gdańsk i przy pomniku Sobieskiego.

POWIEDZIELI

W ostatnich dniach w przestrzeni medialnej robi się z weto jakieś monstrum, którego nie wolno użyć. (...) To są negocjacje. W negocjacjach nie można być miększonem, trzeba być twardym. Trzeba potrafić dbać o interesy Polski. Polska nie jest gorsza od innych, nie musimy się prosić o zgodę Berlina na użycie weta

Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro o możliwym polskim wecie w sprawie powiązania budżetu UE z przestrzeganiem praworządności w krajach członkowskich. Wg niektórych komentatorów określenie „miększon” odnosi się do premiera Morawieckiego



REKLAMA

039957755

**Twoje dziecko
może trafić
na okładkę**

**Dziennika
Bałtyckiego!**

**Dziennik
Bałtycki**



Prześlij zdjęcie do akcji

**Świąteczne
Gwiazdeczki**

www.dziennikbaltycki.pl/gwiazdeczki

Na zdjęciu laureaci akcji Uśmiech Dziecka – Nadia Kiszner i Igor Huniak

Pielęgniarki nie chcą „importu” koleżanek

Dorota Abramowicz
dorota.abramowicz
@polskapress.pl



Zdrowie

W środowisku pielęgniarek wręcz od miesięcy. Spór, który może zakończyć się nawet strajkiem generalnym, toczy się o warunki pracy i płacy w czasie pandemii. W ostatnich dniach oliwy do ognia dołał poselski projekt ustawy o kadrach medycznych, który przewiduje zatrudnianie w polskich szpitalach pielęgniarek i położnych spoza granic Unii Europejskiej.

Na czwartek zaplanowano pierwsze czytanie w sejmowej Komisji Zdrowia projektu ustawy o zmianie niektórych ustaw w celu zapewnienia w okresie ogłoszenia stanu zagrożenia epidemicznego lub stanu epidemii kadr medycznych. Projekt, powstały przed zaledwie dziewięcioma dniami i odpisany przez grupę posłów PiS ma zapewnić na czas pandemii możliwość zatrudnienia kadr medycznych



FOT. ANETA ZUREK

Mimo braków kadrowych związki zawodowe i samorządy pielęgniarskie gwałtownie sprzeciwiają się nowej ustawie

z krajów nie należących do Unii Europejskiej.

W przypadku pielęgniarek rozwiązanie to wydaje się na pozór oczywiste. Według informacji przekazanych przez dr hab. Aleksandra Gaworską-Krzemińską, była konsultant wojewódzką w dziedzinie pielęgniarstwa na Pomorzu, w kraju brakuje około 100 tys. pielęgniarek i położnych. Od lat Polska ze średnią pięciu pielęgniarek na tysiąc mieszkańców znajduje się na szarym końcu statystyk unijnych. Co gorsza,

mimo zwiększenia w ostatnich latach naboru na studia pielęgniarskie, średnia wieku polskiej pielęgniarki wynosi 50 lat. Pandemia koronawirusa obnażyła dramatyczną sytuację w ochronie zdrowia: pielęgniarki, które do tej pory pracowały na dwóch-trzech etatach ze względu na zagrożenie epidemiologiczne musiały ograniczyć się do jednej placówki. Przemęczone, starsze pielęgniarki padają coraz częściej ofiarami wirusa. Jak niedawno informowała Krystyna Ptok, prze-

wodnicząca Ogólnopolskiego Związku Pielęgniarek i Położnych, przez pierwsze dwanaście dni listopada zmarło 12 pielęgniarek. Ostatnie dane z końca października mówią o ponad 6,5 tysiąca zakażonych.

Równocześnie widać też niepokojący trend związany z wyjazdami źle opłacanych i przepracowanych pielęgniarek za granicę.

– Przez pewien okres z dumą obserwowałam, jak wiele młodych pielęgniarek podejmuje pracę w kraju – mówi Anna Czarnecka, przewodnicząca Izby Pielęgniarek i Położnych w Gdańsku. – W ostatnim czasie jednak wydają bardzo dużo zaświadczeń, wymaganych do podjęcia pracy poza Polską. Ręka boli mnie od podpisów. Pielęgniarki lawinowo zaczynają wyjeżdżać z Polski. Wielka Brytania tylko do końca roku może zatrudniać pielęgniarki z Unii Europejskiej na starych przepisach. Oferty są tak dobre, że lecą tam tłumnie.

Mimo braków kadrowych jednak zarówno związki zawodowe, jak i samorządy pielęgniarskie gwałtownie sprzeciwiają się nowej ustawie. Podkreślają przy tym, że praktycz-

nie nie dano im czasu na konsultacje.

Dlaczego są na „nie”? Tymczasem, że zanim polska pielęgniarka samodzielnie stanie przy łóżku pacjenta, musi skończyć bardzo wymagające studia (4 720 godzin zajęć, o ponad

Przez pierwsze 12 dni listopada na COVID zmarło 12 pielęgniarek. Dane z końca października mówią o ponad 6,5 tysiąca zakażonych.

200 więcej niż nakazują nam normy unijne) połączone z zajęciami praktycznymi. Wprawdzie nie ma oficjalnych danych, dotyczących długości zajęć na pielęgniarstwie w ościenich krajach, ale ocenia się, że mogą być one nawet o połowę krótsze. – Dopuszczenie do pracy w naszym zawodzie osób gorzej wykształconych jest złamaniem zasad unijnych – podkreślają pielęgniarki.

Projekt zakłada także, że jeśli przez siedem dni Izba Pielęgniarska nie wyda osobie z za-

granicy warunkowego prawa wykonywania zawodu, może to zrobić wojewoda.

– Takie rozwiązania byłyby do przyjęcia, gdyby w Polsce otwarcie ogłoszono stan nadzwyczajny – twierdzi Anna Czarnecka. – Mówi nam się: to jest wojna, ale nie ma wojny, nie ma nawet ogłoszonego stanu nadzwyczajnego. Nie jesteśmy w sytuacji, gdy do opatrywania rannych wysyłać trzeba zakonnic czy kogokolwiek, kto by umiał plaster nałożyć i bandaż zawiązać.

Pielęgniarskie związki podkreślają, że w sytuacji, gdy obok doświadczonych pielęgniarki dyżur będzie pełnić osoba o mniejszych kwalifikacjach, na i tak zapracowaną pielęgniarkę spadną dodatkowe obowiązki. Problemem może być również brak wymagań dotyczących znajomości języka polskiego. Niemożność komunikacji między personelem medycznym, a także z pacjentem, może nieść potencjalne zagrożenie dla chorych.

– Nie boimy się konkurencji – mówi Anna Czarnecka. – Z naszym wykształceniem pielęgniarki są bezkonkurencyjne. Boimy się o pacjentów. ©©

REKLAMA

009852912

Polak – zaradny, przedsiębiorczy, skuteczny!

Od lat zmieniamy nasze otoczenie – z nieustanną determinacją przekuwamy pomysły w rzeczywistość jaką są nowe szkoły, drogi, nowoczesna infrastruktura. Bo najważniejszy jest rozwój i komfort życia społeczności lokalnej. Dlatego nauczyliśmy się korzystać ze środków unijnych, a teraz uczymy się partnerstwa publiczno-prywatnego – PPP.

Jak to działa? Podmiot publiczny, najczęściej samorząd, określa zadanie, np. budowę nowego przedszkola czy parkingu. Następnie zaprasza do rozmów przedsiębiorców. Dzięki pozyskanej od nich wiedzy może zmodyfikować swoje wstępne założenia i stworzyć projekt dopasowany do potrzeb, realny do wykonania, a przede wszystkim dobrej jakości. Dla przykładu przedsiębiorca może zaproponować wykorzystanie technologii, dzięki której powstanie bardziej energooszczędny budynek, nowocześniejsza instalacja etc. Strony, publiczna i prywatna, dzielą się również ryzykami takiego projektu tj. ustalają, jakie zadania są gotowi zrealizować, jak będzie wyglądać ich zaangażowanie w realizację projektu, czego od siebie oczekują, by projekt się udał. Następnie wybrane w przetargu przedsiębiorstwo zaczyna realizację inwestycji.

Czym to się różni od tradycyjnego przetargu? Tam rola przedsiębiorcy kończy się w momencie oddania kluczy do inwestycji. W PPP przedsiębiorstwo buduje i finansuje powstanie danego obiektu, a następnie – na podstawie wieloletniej umowy – zarządza nim, utrzymuje go i świadczy usługi z jego wykorzystaniem. Partner prywatny, którego wynagrodzenie jest uzależnione od tego, jak funkcjonuje powstały w PPP obiekt i jaki jest standard świadczonych w nim usług, dba o jego jakość i zarządza w sposób efektywny, jak własnym obiektem. Dzięki stałym miesięcznym opłatom – które są wypłacane dopiero, gdy inwestycja jest ukończona – partner prywatny może odzyskać nakłady poniesione na budowę, spłacić kredyt zaciągnięty na potrzeby tej budowy oraz pokryć koszty bieżącego utrzymania obiektu.

Dzięki PPP partner publiczny może – za pomocą jednego przetargu – zlecić budowę i późniejszą obsługę obiektu jednej firmie. Zapewnia tym również szereg kompleksowo świadczonych usług, na które musiałby w innym przypadku organizować odrębne przetargi. Zyskuje również odroczone i równomiernie rozłożone, w długim okresie czasu, finansowanie inwestycji.

Podsumowując, instytucja publiczna dostaje nowoczesną infrastrukturę oraz gwarancję jej utrzymania przez kilkanaście do kilkudziesięciu lat. Z kolei partner prywatny zyskuje gwarancję długoterminowego kontraktu ze stabilnym i wypłacalnym kontrahentem, którym jest podmiot publiczny.

PPP można również łączyć ze środkami unijnymi. Funkcjonuje już wiele udanych realizacji tzw. projektów hybrydowych tj. budowa spalarni odpadów w Poznaniu czy termomodernizacja budynków oświatowych w Zgierz.

Polacy coraz lepiej rozumieją, jak korzystać z szerokiej możliwości, które oferuje partnerstwo publiczno-prywatne. Urzędnicy wiedzą, że jest to szansa na realizację ambitnych projektów, nawet w czasach, gdy bieżące wpływy budżetowe są mniejsze od zakładanych. Przedsiębiorcy cieszą się z wieloletnich kontraktów zapewniających stabilizację ich działalności gospodarczej. Jednak najwięcej zyskują sami obywatele, którzy korzystają z wysokiej jakości usług publicznych, będących efektem współdziałania partnerów publicznego i prywatnego. Więcej na ten temat przeczytaj Państwo na stronie ppp.gov.pl.

PPP Partnerstwo
Publiczno-Prywatne



Sprawdź

www.ppp.gov.pl

Młodzi żyją przyszłością znacznie bardziej niż my

Rafał Mrowicki
rafal.mrowicki@polskapress.pl



Rozmowa

Młodzi ludzie chcą, by Polska była ich krajem docelowym, z którego nie wyjadą i którego nie pozwolą sobie odebrać jako pełnoprawni obywatele - mówi Monika Chabior, nowa wiceprezydentka Gdańska.

Z początkiem grudnia zaczyna pani pracę w Urzędzie Miejskim. Jako wiceprezydent czy wiceprezydentka Gdańska?

Będę zastępczynią prezydenta miasta Gdańska. Generalnie jestem zwolenniczką żeńskich końcówek, ale nie obrażam się, jeżeli ktoś tego nie robi. Obie formy są dla mnie w porządku.

Jakie widzi pani cele na trzy lata kadencji?

Intencją, w związku z pojawieniem się mojej osoby, nie jest radykalna zmiana. Zarówno pani prezydent, jak i ja chcemy kontynuować dotychczasowy kurs. Są rzeczy, które będziemy chcieli rozwijać. Obecnie mamy pandemię, więc dużo uwagi będzie chciała poświęcić osobom, które w związku z koronawirusem doświadczają trudności. Pierwszą grupą, na której się skupię, są dzieci z placówek wsparcia dziennego, które zostały skazane wyłącznie na wsparcie zdalne, również po lekcjach. Te dzieci zwykle nie mogą sobie pozwolić na zajęcia pozalekcyjne i mają trudne warunki mieszkaniowe, dlatego znalezienie przestrzeni na bezpieczne zajęcia rekreacyjne dla nich to sprawa bardzo ważna. W Gdańsku to grupa ok. 400 dzieci. Kolejną grupą są seniorzy oraz ich opiekunowie i opiekunki. Ważnym tematem jest aktywność obywatelska młodzieży, która ostatnio bardzo się ujawniła. Będę chciała przyjrzeć się temu, co młodzi ludzie robią w szkołach. W szkołach jest

bardzo dużo samoorganizacji, a my dorośli nie jesteśmy tego świadomi. Chciałabym wzmocnić działalność obywatelską młodych, by zobaczyli, że jest to ważne w kontekście praw dziecka i naszej wspólnej przyszłości.

Jak chce pani współpracować ze szkołami? Pani poprzednik miał pewne doświadczenie pracy pedagogicznej.

Ja też byłem nauczycielką, mało kto o tym wie. Uczyłam języka angielskiego w nieistniejącym już Gimnazjum nr 5 na Oruni. Napisałam też pracę magisterską z konfliktu roli społecznej nauczyciela, w ramach moich działań badałam szkoły. Zanim wyjechałam z Polski, szkoliłam nauczycieli i nauczycielki chcących działać w Amnesty International. W Wielkiej Brytanii szkoliłam nauczycieli na temat kreatywnej współpracy międzysektorowej oraz pracy z dziećmi o różnych potrzebach. Doceniam to, co robi pan dyrektor Grzegorz Kryger [wicedyrektor Wydziału Rozwoju Społecznego - red.] ze swoim zespołem. Uważam, że te działania są prowadzone w sposób bardzo racjonalny.

Przed wybuchem pandemii tematem, który elektryzował młodzież, a jeszcze bardziej dorosłych, był program edukacji seksualnej dla chętnych uczniów szkół ponadpodstawowych.

Młodzież sama poddaje tematy. To z pewnością kwestia zmian klimatycznych, praw kobiet oraz praw obywatelskich. Jest temat decyzji młodych ludzi, którzy chcą, by Polska była ich krajem docelowym.

Dla mnie tęcza flaga to symbol radości, równości, wolności autoekspresji i solidarności z osobami prześladowanymi

wym, z którego nie wyjadą i którego nie pozwolą sobie odebrać jako pełnoprawni obywatele. Oni żyją przyszłością znacznie bardziej niż my. Jedną z pierwszych kwestii, na jaką zwróciłam uwagę, są OZE i energetyka w szkołach. To w duchu myślenia o przyszłości. Chciałabym, by młodzi ludzie czuli, że ich głos jest ważny. Natomiast w kwestii edukacji seksualnej najważniejszą sprawą jest zapewnienie im bezpieczeństwa w tej intymnej sferze i uwrażliwienie na niebezpieczeństwa z nią związane. Osobiście uważam, że edukacja seksualna jest standardem. Powinniśmy dążyć do tego, by młodzież chciała słuchać na ten temat z wiarygodnych źródeł, a takim źródłem jest program Zdrovve Love. Jestem zdziwiona tym, jak bardzo program ten jest krytykowany.

W lutym, jeszcze przed pandemią, pani poprzednik Piotr Kowalcuk zapowiedział debatę na temat edukacji seksualnej z przeciwnikami programu Zdrovve Love. Zrealizuje pani tę zapowiedź?

Jakiś rodzaj rozmowy zostanie podjęty, ale muszę to jeszcze rozważyć. Ważny jest tu głos pani prezydent. Głównie odium idzie tu na nią i ostateczna decyzja pewnie też będzie należała do niej.

Pani poprzednik miał opozycję również z lewej strony. Często zarzucano mu faworyzowanie Kościoła, czy to na uroczystościach z udziałem duchownych, czy to poprzez niezmnieszenie liczby godzin lekcji religii, na co zresztą musiałby się zgodzić metropolita.

Jestem zwolenniczką świeckiego państwa. Podejście ekumeniczne do ewentualnych uroczystości jest mi bliskie, co zresztą w Gdańsku się dzieje. Jestem otwarta na obywateli wszystkich wyznań i poglądów. Współpracowałam z katolikami i katoliczkami, przy okazji ostatnich strajków



Monika Chabior swoją funkcję obejmie 1 grudnia

kobiet głównie z katoliczkami, one protestowały na ulicach mniejszych miejscowości. Tematowi lekcji religii się przyjrę. Lekcje religii i etyki są bardzo ważne, ale jeszcze nie miałam okazji się tym zająć.

Jak pani ocenia niedawne decyzje rządowe odnośnie edukacji? Długa przerwa świąteczna, potem ferie dla wszystkich w tym samym czasie, które młodzi najprawdopodobniej spędzą w domu.

Jestem zadowolona z tego, jak Gdańsk wyposażył uczniów w sprzęt do zdalnej nauki, choć jestem świadoma, że sprzęt to nie wszystko. Bardzo mnie odium idzie tu na nauczycieli, którzy spędzają potwornie długi czas przed ekranami komputerów, i obawiam się, że może to mieć duży negatywny wpływ na ich zdrowie psychiczne. Trudno jest wymagać od kogokolwiek, by przyswajał wiadomości, zwłaszcza w naszym przeładowanym programie, kiedy uczeń czy uczennica nie ma możliwości zrelaksowania się, udziału w zajęciach fizycznych, kontaktów towarzyskich, wsparcia duchowego od rówieśników. Obawiam się, że to może zaburzyć rozwój młodych ludzi.

Minister zapowiada obniżenie wymagań na egzaminach.

Moim zdaniem odpowiedź jest bardziej

zniuansowane podejście do rozporządzeń edukacyjnych. Oddanie samorządom przestrzeni do myślenia na temat nauki hybrydowej byłoby rozsądniejsze.

Wiceprezydent Kowalcuk lubił krytykować ministrów edukacji. Teraz ministrem jest Przemysław Czarnek. Będzie chciała pani otworzyć z nim polemizować czy też jeździć do Warszawy na strajki nauczycieli?

Myślę, że trzeba będzie działać zgodnie z potrzebą. Na pewno nie będę się tego bała, ale nie objęłam jeszcze funkcji, więc nie chcę otwierać frontu, którego nie ma. Mam poglądy w wielu przypadkach rozbieżne z panem ministrem, natomiast jestem przekonana, że na poziomie administracyjnym jest wiele rzeczy, które można omawiać z pożytkiem dla naszej społeczności.

Pozostając przy pani poglądach. Była pani zaangażowana w protesty kobiet w Puławach, co było najchętniej podawaną informacją na pani temat ze strony miejskiej opozycji po tym jak ogłoszono objęcie przez panią stanowiska.

Protestuję i działam w taki sposób od 1996 roku. Organizowałam happeningi w rocznicę masakry w Tiananmen, protestowałam przeciwko wojnie w Czeczenii, przeciwko łamaniu praw człowieka na Białorusi. Moja działalność w obszarze praw kobiet nie jest zaskoczeniem. To, co wydarzyło się w Polsce w ostatnich tygodniach, jest skrajnie oburzające. Nie można w czasie pandemii wywoływać sporu, który w ostatnich latach rozgrzewał Polki i Polaków, bez brania za to odpowiedzialności.

Jako wiceprezydentka będzie pani chciała brać udział w takich protestach? Może nawet zabierając głos publicznie?

Moja działalność nie będzie ograniczona, natomiast nie będę osobą prywatną. Na pewno nie będę liderowała żadnemu protestowi, bo od tego są obywatele i obywatelki. Nie można zawłaszczać obywatelskiej oddolnej działalności.

W Gdańsku mamy Model na rzecz Równego Traktowania. Słychać głosy, że jest zbyt daleko idący, ale również, że miasto nie podcho-

dzi odważnie do realizacji modelu, a władze nie okazują wsparcia osobom nieheteronormatywnym.

Model dotyczy więcej niż jednej przesłanki. Wczoraj miałam spotkanie na temat edukacji osób z niepełnosprawnościami. Dziś miałam rozmowę na temat modelu. To polityka bardzo szeroka i trudna do wdrożenia. Dla mnie tęcza flaga to symbol radości, równości, wolności autoekspresji i solidarności z osobami prześladowanymi ze względu na swoją tożsamość. Wydaje mi się, że mamy tu dwa aspekty. Z jednej strony mamy zrozumienie tematu przez społeczeństwo, które jest coraz większe, a z drugiej konkretne przykłady prześladowania, którym trzeba przeciwdziałać lub reagować. Dlatego cieszę się, że mamy pomoc psychologiczną i Gdańskie Centrum Równego Traktowania.

Przed naszą rozmową usłyszałam o pani, że pochodzi z solidarnościowego i wolnościowego domu.

Wychowałam się w Gdańsku i urodziłam się w roku 1980. Moja mama zabierała mnie na strajk, sama strajkowała. To gdańska tożsamość tego okresu. Mama powiedziała mi kiedyś: „Dziś po szkole pójdziemy zrobić coś innego” i poszliśmy przed stocznice. To był 1987 rok. To było niesamowite doświadczenie. Miałam 7 lat. Pamiętam stoczniciwców, którzy wychodzili ze stoczni. Krzyczaliśmy razem z nimi. Wtedy Jerzy Urban mówił, że jest tam 300 osób, a było nas kilka tysięcy, więc krzyczeliśmy: „Jest nas 300!”. (śmiech)

Mieszka pani teraz w Gdańsku?

Najpierw mieszkałam w Gdańsku, potem w Londynie, Gdańsku, Warszawie, Gdańsku, potem z powodów rodzinnych trafiłam do Władysławowa, a teraz znowu jestem w Gdańsku.

Ma pani rodzinę?

Mam męża, nie mam dzieci, mam psa, mieszańca. (śmiech) Cieszę się na spacer po Trójmiejskim Parku Krajozawodowym. Lubię robić zdjęcia. Jedną z moich działalności są działania kulturalno-charytatywne. Organizowałam koncerty w Europejskim Centrum Solidarności, na których zbieraliśmy pieniądze dla ofiar wojny w Syrii. ©

AUTOPROMOCJA



pakiet
3 książek
za



Pomysł na Prezent Świąteczny

Zamówienia na książkę przyjmujemy

pod adresem mailowym: ksiegarnia@prasa.gda.pl

Możesz też zadzwonić pod nr tel. 502 499 054

Co eksperci sądzą o najnowszym sposobie poprawiającym sprawność seksualną?

Dodatkowa OKAZJA: dla najszybszych niespodzianka GRATIS!



GIGANTYCZNA męskość nawet po 1. zastosowaniu

Dzięki przełomowemu odkryciu australijskich naukowców Twoje możliwości seksualne i wytrzymałość w sypialni mogą zwiększyć się 3-krotnie już 1. nocy. Nowatorska formuła przeznaczona do domowego użytku jest dostępna również w Polsce – pierwsze 100 osób ma szansę otrzymać bioaktywny preparat **ZA DARMO**. Wiek i sprawność fizyczna nie mają znaczenia, teraz możesz kochać się nawet **90 minut dłużej**, przeżywając niesamowitą **rozkosz** kilka razy z rzędu.

ZOSTAŃ JEJ...

ŁÓŻKOWĄ OBSESJĄ

Czas płynie, a ogień między wami przygasł? Namietność trzeba podsycać, a wiek, małe przyrodzenie czy słaba kondycja fizyczna w XXI wieku nie powinny być już wymówką. Dzięki rewolucyjnej formule możesz nadal odczuwać 100% satysfakcji podczas zbliżeń i dorównywać w miłosnych podbojach dwudziestolatkom. Poprawa życia erotycznego to również poprawa relacji między Wami – czy jesteś gotowy na 3 x dłuższe uniesienia, wielokrotne szczytowania i spełnienie najszybszych fantazji?

SKONCENTROWANA DAWKĄ EROTYCZNEJ WITALNOŚCI DLA CIEBIE – 3 X MOCNIEJ I DŁUŻEJ

Do tej pory dużą popularnością cieszyły się chemiczne wspomagacze na potencję – na szczęście w 2020 roku, dzięki przełomowej formule opracowanej przez australijskich naukowców, już nie musisz łykać różnych dziwnych substancji, które dają marny efekt. Nowatorski żel to znacznie wygodniejsze i bezpieczniejsze rozwiązanie. W naturalny sposób pozwala wpompować do penisa nawet 3 x więcej krwi, co skutkuje wzmocnieniem potencji i pozwala zwiększyć możliwości seksualne mężczyzny w każdym wieku. Już teraz podejmij decyzję, czy chcesz dalej szukać wymówek, upierając się w przekonaniu, że za Twoje łóżkowe porażki odpowiada zły los?

Niech pożądanie trwa cały rok!

Przepis na ROZPALENIE NAMIĘTNOŚCI:

1. Skorzystaj ze 100% refundacji producenta i zamów nowoczesny żel, dzięki któremu **powiększysz męskość** nawet o **6 cm już po 1. użyciu**.
2. Zaplanuj nastrojową kolację, którą zwieńczycie ognistym aktem miłosnym jak z filmu dla dorosłych. Dzięki nowej formule doznania będą silne jak nigdy wcześniej, a Ty będziesz mógł **kochać się nawet 90 minut dłużej!**
3. Kontynuuj nową namiętą tradycję i bądź gotowy 24 h na dobę do przeżywania wielokrotnych ekstaz. **Aktywnego żelu starczy na długo**, a Wasze igraszki staną się tak pikantne, jak w młodości. Cieszcie się gorącą miłością bez limitu!

**UWAGA! Innowacyjna metoda zawiera
W 100% NATURALNY I BEZPIECZNY DLA KAŻDEGO SKŁAD.**

Czy też weźmiesz w końcu sprawę w swoje ręce i zrobisz coś, by podkręcić przepływ krwi i gospodarkę hormonalną, od których zależą Twoje seksualne możliwości?

Rozmiar przyrodzenia

XXL

już w zasięgu ręki

Jeśli chcesz:

- Zyskać dodatkowe 6 cm długości
- Odczuwać 3 x większą przyjemność podczas intymnych zbliżeń
- Być gotowym do miłosnych uniesień 24 h/7
- Przeżywać wielokrotne, długie szczytowania (nawet 7 razy z rzędu!)
- Doprowadzić swoją partnerkę do nieziemskiej rozkoszy

WIĘKSZY CZŁONEK + 3 x DŁUŻSZA EREKCJA

W ciągu 24 h – 3 x silniejsza erekcja, lepsze ukrwienie penisa, dłuższe szczytowanie

Po 5 dobach – trwale podniesione libido, wzmocniona potencja

Po 12 dobach – olbrzymi ładunek, stała gotowość do zbliżeń, imponujące przyrodzenie (nawet + 6 cm długości)

ZABIERZ JĄ NA SZCZYT

Wyobraź sobie, że już niedługo problemy z potencją odejdą w zapomnienie, a Ty znacznie powiększysz przyrodzenie, podniesiesz libido, wydłużysz czas trwania erekcji i poczujesz się znowu jak 20-latek. Dzięki innowacyjnej formule sprawisz przyjemność nie tylko sobie, lecz również swojej partnerce – to idealny czas, żeby podarować

ukochanej niesamowity seks i rozkosz, na jaką zasługuje. **Spraw, żeby robiło się jej gorąco już na sam Twój widok!**

nr 1 NA POWIĘKSZENIE MĘSKOŚCI

**Prof. Axel Thomson
ekspert ds. seksuologii**

Co sprawia, że nowatorska formuła jest tak skuteczna?

„Spektakularne efekty powiększenia masywności penisa są możliwe dzięki połączeniu silnie stężonych 4 substancji aktywnych (gliceryny, sorbitolu, mleczanu mentylu i wyciągu z żeń-szenia), które poprzez układ krwionośny wnikają do wszystkich ciał jami-nych przyrodzenia. Stopniowo uwalniane, w pełni bezpieczne związki docierają do komórek, wzmacniają ich strukturę i zwiększają elastyczność, jednocześnie stymulując przepływ krwi oraz poszerzając naczynia krwionośne. W efekcie członek rośnie nawet o 6 cm, a **erekcja wydłuża się nawet o 90 minut już po 1. zastosowaniu**”.



EXTRA DOZNANIA DLA NIEJ I DLA CIEBIE

Nowy preparat teraz dostępny również w Polsce. Dzięki programowi refundacyjnemu producenta pierwsze 100 osób otrzyma bioaktywny żel **ZA DARMO**! Na co jeszcze czekasz? Zadzwoń i stań na wysokości zadania.

Już 105 112 Polaków zyskało dodatkowe 6 cm długości!

Badania wykazały, że 97% mężczyzn stosujących nową formułę zaobserwowało spotęgowanie miłosnych możliwości, wydłużenie czasu erekcji (nawet o 90 minut) i zintensyfikowanie doznań. Natomiast 95% badanych potwierdza znaczne zwiększenie objętości członka już po 1. dawce.

Seks lepszy niż za młodu

„Natrafiłem na nowy żel, który w 1 noc uratował nasze życie erotyczne. Efekty są spektakularne – jestem twardy na jedno skinienie, mogę się kochać dłużej, mocniej i kilka razy z rzędu. Moja żona Ba-sia nigdy nie była tak zachwycona!”.
Paweł z Łodzi, 56 lat



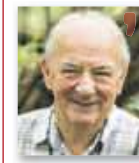
Przyjemność, o jakiej nawet nie śniłem

„Penis jest dłuższy dokładnie o 5,5 cm, erekcje są silne jak nigdy przedtem, a moja o 10 lat młodsza dziewczyna mówi, że wcześniej żaden partner nie dostarczył jej takiej rozkoszy. Dzięki tej metodzie przeżywamy wspaniałe orgazmy nawet kilka razy z rzędu!”.
Stanisław z Białowieży, 44 lata



Niesamowite – jestem twardy o 1,5 h dłużej

„Już po 1 dawce członek stał się grubszy i masywniejszy, ale co najważniejsze – osiągnąłem 3 erekcje z rzędu! Jestem twardy i gotowy praktycznie na zawołanie. Kto by pomyślał, że w wieku 68 lat odzyskam sprawność seksualną z młodości lat”.
Mieczysław z Legnicy, 68 lat



TURBODOŁADOWANIE SEKSUALNEJ MOCY



Pierwsze 100 osób, które zadzwonią do 12.12.2020 r., otrzyma **100% REFUNDACJI OD PRODUCENTA**

Nie zwlekaj! To idealny moment by zadbać o formę!

Chcesz drugi produkt w PREZENCIE? Zadzwoń w przeciągu 5 dni!

ZADZWOŃ: 61 610 21 32

pon.-pt. 08:00-20:00, sob.-nd. 09:00-20:00. Zwykłe połączenie lokalne bez dodatkowych opłat.

+ SZYBKA
PRZESYŁKA!

Był opoką Teatru
Miniatura i królem życia
str. 20-21

Nie mam już zaufania do tych,
którzy przejęli zbiory
str. 16-17

Orkiestra Czasów Zarazy
w Gdańsku czasu zarazy
str. 24

rejsy



Nie zachowała się żadna kopia, żadne fotosy. To są jedyne obrazy, które ten film dokumentują

Został tylko ten album

W świecie „starego kina” to prawdziwa sensacja. Fotosy - ze zdawało się bezpowrotnie zaginionego filmu „D’Elmoro” z 1922 roku w reżyserii Jana Kucharskiego - znalazły się w Gdańsku. Czytelnicy „Rejsów” oglądają je jako pierwsi str. 9 i 10



Kino

- Nikt nie wie, jak ten film wyglądał - mówi Grzegorz Rogowski z Filmoteki Narodowej Instytutu Audiowizualnego, gdy wysyłam mu skany zdjęć. - Nie zachowała się żadna kopia, żadne fotosy. To są jedyne obrazy, które ten film dokumentują.

Album z 31 odbitkami kadrów z nakręconego blisko sto lat temu filmu kupił na aukcji Gunnar Heinsohn, zamieszkały w Gdańsku, emerytowany profesor ekonomii i socjologii z Bremy.

Prof. Heinsohn od wielu lat kolekcjonuje polonice i regularnie przegląda różne aukcje internetowe. Kiedy tylko zobaczył tę ofertę, natychmiast się zdecydował kupić album, choć pamiątki filmowe zasadniczo nie są tematem jego kolekcji. Album sprzedawał ktoś z Niemiec. Opisany był jako „D’Elmoro», film Jeana de Kucharskiego, piękne zdjęcia w stylu ekspresjonistycznym”.

- Nie słyszałem wcześniej o Kucharskim ani o tym filmie,

ale jestem wyczulony na polskie brzmienie nazwisk. Poza tym wiem, że po tych wszystkich kataklizmach, jakie dotknęły Polskę, bardzo dużo filmów się nie zachowało i gdyby coś takiego teraz miało się znowu zawieruszyć, byłaby to ogromna strata. Nie namyślałem się więc długo i kupiłem ten album. Dopiero potem zacząłem sprawdzać w internecie i okazało się, że faktycznie ten film przepadł - relacjonuje prof. Heinsohn.

Po zakupie zdjęcia przeszły fachową renowację.

Śmierć pod tramwajem i pomsta brzytwą

Razem z Grzegorzem Rogowskim staramy się zebrać wątki i rozproszone informacje na temat filmu i jego reżysera.

Jan Kucharski vel Jean de Kucharski urodził się ok. 1893. Jako aktor zadebiutował podobno w wieku lat 14 u Ludwika Solskiego w sztuce „Robert i Bertrand”. W wieku lat 20 wyjechał do Berlina, gdzie zetknął się z przemysłem filmowym. W 1917 wrócił do Krakowa, skąd po dwóch sezonach w Teatrze Powszechnym wyjechał do Warszawy. W latach 1919-23 występował tam w teatrach rewiowych Qui Pro Quo i Stańczyk.

Swoją pierwszy film wyreżyserował w 1922 roku dla najstarszej wytwórni, jaka istniała

na ziemiach polskich, Sfinks, należącej do Aleksandra Hertza. Obraz nosił tytuł „Tajemnica przystanku tramwajowego”, a główną żeńską rolę grała w nim przyszła największa polska gwiazda kina dwudziestolecia międzywojennego - Jadwiga Smosarska.

Grzegorz Rogowski na podstawie dawnych recenzji określił debiut Kucharskiego jako film bardzo nieudany. Aby dać czytelnikowi choć w przybliżeniu pojęcie, z jakim rodzajem kina mamy do czynienia, zacytujemy streszczenie fabuły „Tajemnicy...” pióra jednego z ówczesnych recenzentów: „Główna bohaterka - Kazia - kocha pana Miecia, golibrodę, lecz pewnego razu spotyka na przystanku tramwajowym starzejącego się, ale zawsze przystojnego lowelasa z hrabiowskim tytułem. Pociągnięta przez doświadczonego zdobywcę serc, porzuci w szale miłości matkę i małego brata i pójdzie za hrabią w świat zbytku, ale prędko, jak to bywa, przeje mu się... Opuszczona przezeń tak, jak sama opuściła narzeczonego, rzuci się pod koła tramwaju. Wywoła to w Don Juanie skruchę. Kazia pojawi mu się w wizji na tym samym przystanku, gdzie go ujrzała po raz pierwszy, i gdzie skończyła młode życie, i jako wizja zaprowadzi go do razury, gdzie zwario-

wany narzeczony fryzjer, niemogący zapomnieć o ukochanej, wyrwie na uwodziciela w szaleństwie pomstę, przerynając mu gardło”.

Korsarz w Tatrach

„D’Elmoro - walka o skarby” to druga produkcja Kucharskiego, zrealizowana tym razem dla bliżej nieznanej wytwórni Ines Film, prawdopodobnie powo-

Nie przetrwała ani jedna kopia filmu, ani zarys scenariusza. Jedyne, na czym można się opierać, to zdawkowe relacje w prasie

łanej do życia tylko ze względów formalnych, gdyż film powstał za pieniądze skarbu państwa, pod patronatem ministra spraw zagranicznych.

- W tamtym czasie państwo dość intensywnie angażowało się w kinematografię, uznawaną za medium nośne propagandowo - wyjaśnia Grzegorz Rogowski. - Początkowo tworzone referaty filmowe przy Wojsku Polskim. Potem je rozwiązano i trzeba to było gdzieś przenieść. Ostatecznie kinematografia stała się domeną nie Ministerstwa Kultury, ale Spraw Wewnętrznych.

Zanim do tego doszło, przejściowo trafiła do MSZ.

Stąd pewnie pomysł, by „D’Elmoro” reklamował za granicą to, co najlepsze w Polsce, a więc m.in. piękne plenery. W tym sensie można powiedzieć, że był to film propagandowo-turystyczno-krajoznawczy.

Nie przetrwała ani jedna kopia filmu, ani nawet żaden zarys scenariusza. Jedyne na czym można się opierać to zdawkowe i nie zawsze wiarygodne relacje w ówczesnej prasie.

- Bohater filmu, ów baron D’Elmoro, był w zamyśle autorów jakimś odpowiednikiem korsarza Elmoro, bohatera filmu awanturniczego „Panowie morza” dystrybuowanego kilka miesięcy wcześniej - zauważa Grzegorz Rogowski. - W prasie jedni używali tytułu „D’Elmoro - walka o skarby” inni - „Awanturnik D’Elmoro”.

Owymi skarbami (poza plemnami Tatr, Warszawy i okolic Sopotu) był - jak się zdaje - tajemniczy wynalazek, który miał postawić na nogi polski przemysł. Podstępny i żądny skarbu D’Elmoro namawia femme fatale do zgładzenia inżyniera wynalazcy, potem jednak „szlachetność uczuć w nim zwycięża i stara się naprawić szkodę, a w końcu sam sobie wymierza sprawiedliwość”.

W tytułową rolę wcielił się sam reżyser. Towarzyszyli mu „najwybitniejsi artyści” Kinostudia, czyli szkoły aktorskiej należącej do Wiktora Biegańskiego. Zdaniem Grzegorza Rogowskiego świadczy to o tym, że zdecydowano się zaoszczędzić na obsadzie, bo do filmów wysokobudżetowych zatrudniano znanych aktorów teatralnych.

Wypadki, co szarpią nerwy i zagrażają życiu

Film miał swoją premierę w środę 20 grudnia 1922 roku, co przypadkiem zbiegło się z wyborem Stanisława Wojciechowskiego na prezydenta RP.

Zapraszając na projekcję, kinoteatr „Pan” mieszczący się w Warszawie przy Nowym Świecie 40 zamieścił w „Rzeczpospolitej” ogłoszenie, w którym określał ten film mianem „rehabilitacji artystów polskiego ekranu” oraz zapewniał, że „zdjęcia do tego obrazu odbywały się na najwyższych szczytach [Tatr], przyczem wypadków szarpiących nerwy i zagrażających życiu było tyle, że niejednokrotnie czytaliśmy o tem w gazetach i depeszach P.A.T.” - W depeszach Polskiej Agencji Telegraficznej? Ja ich nie znalazłem - dziwi się Grzegorz Rogowski.

Dokończenie na str. 10

MATERIAL INFORMACYJNY OPPO

Smartfony i smartwache OPPO na Black Friday – łap okazję!

Podczas Black Friday producenci i sieci handlowe szykują promocje, które pozwolą zaoszczędzić nawet kilkaset złotych. Jeśli smartfon lub smartwatch to Twój planowany zakup - koniecznie rozważ propozycje OPPO.

Black Friday zdobywa coraz większą popularność nad Wisłą. W USA to przy której miliony Amerykanów szturmują sklepy, zwłaszcza te z elektroniką i AGD, aby zdobyć wymarzone produkty z dużymi upustami. W Europie mamy więcej czasu na podjęcie decyzji i same zakupy, bo sieci handlowe gwarantują niższe ceny przez kilka lub nawet kilkanaście dni na przełomie listopada i grudnia, dlatego to idealny moment na wybranie prezentów. Lepiej nie liczyć z kolei na to, że uda nam się zrealizować plany na świąteczne zakupy w tygodniu przedświątecznym. Sklepy znów mogą zostać zamknięte, firmy kurierskie już nie nadążają z dostawami. Jak to z promocjami - i te na Black Friday bywają różne. Ale pojawiają się też prawdziwe rodzyunki. W tym kontekście wzięliśmy pod lupę ofertę OPPO. Ów producent nowoczesnych urządzeń

mobilnych szturmem podbił półki w sieciach handlowych, a przede wszystkim serca polskich użytkowników.

Przeceny w okresie Black Friday objęły nie tylko linię



ekonomiczną smartfonów OPPO. To dobra wiadomość, dla wszystkich, którzy ostrzą sobie zęby na imponujące flagowce tej marki, z serii Reno. Za Reno3, który zaskarbił sobie serca wymagających użytkowników na całym świecie, zapłacimy teraz niepełną 1200 zł, oszczędzając aż 300 zł. Promocją został objęty także najnowszy OPPO Reno4, który dopiero niedawno miał swoją premierę w Polsce. zapłacimy za niego 1499

zł zamiast 1899 zł.

Prawie o 1/3 obniżona została w okresie Black Friday cena wybranych modeli z popularnej serii OPPO A. Przy zakupie A72 zaoszczędzimy aż trzysta złotych, a A91 to aż czterysta złotych w kieszeni. Telefony kosztują teraz odpowiednio 799 oraz 899 złotych. Czym charakteryzują się oba modele? Jak zwykle w przypadku produktów OPPO mo-

charakteryzuje się świetnym stosunkiem jakości do ceny. Teraz, gdy za urządzenie zapłacimy aż czterysta złotych mniej, argument ten zyskuje jeszcze większą moc. Model A91 to wzorcowe wykonanie oraz doskonały ekran AMOLED, który pozwala podwójnie cieszyć się jakościowymi zdjęciami wykonanymi poczwórnym, wspieranym AI aparatem. Jakość zdjęć oraz filmów to jeden z większych atutów OPPO A91.

Dzięki ofertom przygotowanym z myślą o Black Friday, także za najbardziej przystępny cenowo smartfon OPPO A12 zapłacimy aż o 150 zł mniej niż w standardowej ofercie. Urządzenie wyposażone jest w wydajną baterię, czytnik linii papilarnych, czterordzeniowy procesor i podwójny tylny aparat. Ta doskonała propozycja dla początkujących użytkowników kosztuje teraz w podstawowej wersji 3 GB RAM 32 GB pamięci na pliki zaledwie 399 zł. Pojemniejsza wersja z 4GB RAM i 64GB ROM kosztuje 499 zł.

Na koniec prawdziwa gratka dla fanów inteligentnych zegarków. OPPO z okazji Black Friday obniżyło również ceny swoich smartwatchy: o 200 zł w przypadku mniejszego zegarka o tarczy 41mm oraz aż o 300 zł w przypadku jego większego brata o wymiarze 46mm. Smartwatche, które

Black Friday z OPPO

w ofercie telekomów:

T-Mobile

Dla klientów indywidualnych:

- OPPO A53 za 1 zł na start (zamiast 179) zł w taryfie M za 75 zł/mc z nielimitowanymi usługami komunikacyjnymi i internetem bez limitu danych
- OPPO A72 za 1 zł na start (zamiast 179) zł w pakiecie S z nielimitowanymi rozmowami i SMS-ami oraz 8 GB internetu.
- OPPO A31 za 1 zł na start (ze 149zł) w ofercie MIX za 40 zł.

Dla biznesu:

- OPPO A31 za 49 zł na start (zamiast 99 zł) w ofercie Magenta Biznes za 60 zł miesięcznie,
- OPPO Reno4 Lite za 99 zł na start (zamiast 199 zł) w ofercie Magenta Biznes S za 90 zł miesięcznie,
- OPPO Watch 46 mm za 9 zł na start (zamiast 99 zł) w ofercie Magenta Biznes S w kwocie 80 zł na miesiąc.

W ofercie T-Mobile zainteresowani otrzymają ponadto model OPPO A72 bez umowy po obniżce z 980 zł do 820 zł.

Rabaty w Play

Black Week w Play potrwa do 3 grudnia. W tym czasie przecenione będą modele, które kupimy bez abonamentu:

- OPPO Reno4 Lite (do 1299 zł), • OPPO A91 (do 999 zł),
- OPPO A31 (699 zł) • oraz smartwatch OPPO 46 mm (999 zł).

Rabaty czekają również na klientów abonamentowych:

- OPPO Reno4 Z 5G za 1 zł na start (zamiast 69 zł) • OPPO A52 za 1 zł na start (zamiast 39 zł)
- OPPO A53 za 1 zł na start (zamiast 59 zł) • OPPO A91 za 1 zł na start (zamiast 99 zł)
- OPPO A31 za 1 zł na start (zamiast 89 zł)

(ceny w abonamencie 135 zł/mc)

kosztują teraz odpowiednio 799 i 999 złotych, to doskonałe prezenty dla wszystkich, którzy cenią sobie swobodę. Dzięki, m.in., wsparciu płatności mobilnych i innym przydatnym funkcjom zostały okrzyknięte najlepszymi smartwatchami z Androidem! Wszystkie oferty obowiązują w największych sieciach de-

talicznych i strefie marki na Allegro, ale trwają jedynie do 30.11.2020!

Dodatkowo, w ramach Black Week na Allegro wyraźnej obniżce uległa cena najnowszego smartfonu OPPO A73 4/128 GB. Zapłacimy za niego 799 zł, czyli o 400 zł mniej niż zwykle.

„Awanturnik D'Elmoro”, czyli filmowe skarby częściowo odnalezione

Dokończenie ze str. 8-9

Grzegorz Rogowski zauważa, że w przedwojennej prasie często pojawiały się artykuły sponsorowane, które miały z pozoru neutralny wygląd, a na koniec okazywały się czymś zupełnie innym. I na dowód pokazuje stronę gazety z prognozą pogody, która kończy się propozycją, by słotne popołudnie przeciekać w kinie na seansie „D'Elmoro”. Zachętą do obejrzenia tego filmu kończyły się też dwie inne notki prasowe informujące o dwulicowości polityki brytyjskiego premiera Lloyd'a George'a oraz o niedyskrecjach na temat eks-kaisera Wilhelma II, jakie zawarł w swoich pamiętnikach pewien austriacki generał. A „Kurier Informacyjny i Telegraficzny” opublikował tekst na kilometr wyglądający na kaczkę dziennikarską o tym, jak to jeden pan nazwał drugiego publicznie „D'Elmoro”, a tamten uznał to za zniewagę. Sprawa trafiła jakoby do sądu, który - na podstawie znajomości filmu - uniewinnił pozwanego.

Eksport do Japonii

„Rzeczpospolita” poinformowała też, iż film wyświetlono w Belwederze na życzenie naczelnika państwa, a obraz „spotkał się z żywym uznaniem zaproszonych gości”, wśród których znaleźli się m.in. generałowie Sosnkowski i Jacyna, dyrektor protokołu dyplomatycznego Przeździecki oraz szef biura prasowego MSZ.

Rzecz to o tyle zaskakująca, że Piłsudski nie był miłośnikiem kina. Anegdota z końca lat 20. opowiada, jak razem z Bolesławem Wieniawą-Długoszewskim poszli na premierę „Pana Tadeusza” w reżyserii Ryszarda Ordyńskiego. Kiedy marszałek wychodził, podszedł do niego reżyser i spytał, jak mu się podobało. Piłsudski odpowiedział coś zdawkowo, a stojąc już w drzwiach odwrócił się do swojego wieloletniego adiutanta ze słowami: Wieniawa, więcej na takie gówno mnie nie zabieraj.

Ta sama „Rzeczpospolita” donosiła o zagranicznym powodzeniu „D'Elmoro”. Film, który „po wyświetleniu próbnie w Warszawie spotkał się z jednomyślnym uznaniem prasy”, został jakoby sprzedany następnie do „prawie wszystkich krajów Europy,



Kluczowe sceny filmu rozgrywały się w okolicach Zakopanego. Prasa chcąc wzbudzić zainteresowanie donosiła o niebezpiecznych wypadkach na planie, ale prawdopodobnie były to plotki



W postać demonicznego D'Elmoro wcielił się sam reżyser, Jan Kucharski (z prawej), który doświadczenie filmowe zdobywał ponoć w słynnej berlińskiej wytwórni Ufa

do Ameryki i do Japonii. (...) To też z wielką niecierpliwością oczekuje nasza publiczność ukazania się jego na ekranie warszawskim”.

- Z tego wynika, że on najpierw był pokazany za granicą a dopiero potem w Polsce, co w zasadzie się nie zdarzało. Szczególnie interesująca jest wzmianka o Japonii. Nie spotkałem się z takim kierunkiem eksportu polskiego filmu - komentuje Grzegorz Rogowski.

Krajowe recenzje były rozbieżne. Recenzent „Kuriera Warszawskiego” chwalił „technikę wykonania bogatego wyposażenia dekoracji i całe mise en scène [składniki inscenizacji - red.]”. Z grona wykonawców docenił szczególnie Helenę Zahorską, Jana Kucharskiego i Witolda Kuncewicza. Dodawał też, że „na podniesienie zasługują piękne zdjęcia wplecionych w akcje tańców rytmicznych p. A. Paszkowskiej ze swoim zespołem na otwartej scenie parku Łazienkowskiego i znakomicie w zdjęciach oddane widoki Zakopanego”.

Bardziej wstrząsliwy był dziennikarz „Skamandra”, który wymieniał „D'Elmoro” jako przykład na „skandaliczne niedopatrzności w charakterystyce aktorów kinowych” oraz „niespotykane nigdzie, poza Polską, niechlujstwo w realizowaniu filmu”.

Jak było faktycznie, chyba jednak się nie przekonamy.

- Kopii przedwojennych filmów nie było wiele. W latach 30. robiło się ich od ośmiu do 13. W latach 20. zdecydowanie mniej, trzy-cztery na cały kraj plus jedną negatywową za granicę. Z niej ewentualnie firma dystrybucyjna robiła kolejne kopie - tłumaczy Grzegorz Rogowski.

„Orlica” w pięciu wersjach językowych

W Polsce Jan Kucharski zrealizował jeszcze trzy filmy: „Niewolnica miłości” (1923), „Śmierć za życie. Symfonia ludzkości” (1924) oraz „Miłość przez ogień i krew” (1924). Ten ostatni obraz, o tematyce patriotycznej, zapisał się w dziejach polskiego kina tym, że po raz pierwszy pokazano w nim aktora wcielającego się w rolę Józefa Piłsudskiego.

- W fabułach bano się go grać - wyjaśnia Grzegorz Rogowski. - Istniało duże ryzyko, że jeśli nie będzie dość dobrze zagrany, całą produkcję zatrzyma cenzura. Starano się

więc tego tematu unikać, a jeśli Piłsudski się pojawiał, to na zasadzie dokumentalnej „wklejki”. Kucharski był tu prekursorem.

O przebiegu dalszej kariery reżysera można dowiedzieć się z wywiadu, jakiego udzielił w Paryżu jesienią 1933 roku wysłannicze „Światowida”. Opowiada, że w 1924 wyjechał do Berlina, gdzie pracował jako aktor oraz wyreżyserował film „Książę i skrzypek uliczny”. W rolę skrzypka wcielił się w nim młodzieńcy aktor Karol Konecki, który - pod pseudonimem Joshua Kean - stanie się gwiazdą kolejnych filmów Kucharskiego.

Dziennikarz, popularyzator historii i bloger Marek Teler podaje, że latem 1930 r. Kean u boku niemieckiej gwiazdy Betty Amann brał udział w pierwszym filmie dźwiękowym Jana Kucharskiego „Orlica”, realizowanym w pięciu wersjach językowych. Film jednak ostatecznie nigdy nie trafił do dystrybucji.

W Londynie Kucharski i Kean (o którym sama Pola Negri miała powiedzieć, że „posiada nadzwyczajne warunki filmowe jako typ latyński, mając doskonałą twarz fotogeniczną i dużo życia”) realizują wspólnie m.in. „Młodego radcę”, „Zbrodnię”, „Święty kraj”, „Naród bez matek” oraz nakręcone z rozmachem w indyjskich plenerach „Serce maharadży” („Emerald of the East”).

We wspomnianym wywiadzie dla „Światowida” Kean chwali się, że grał też „pod reżyserią słynnego Hitchcocka”. Kucharski opowiada natomiast o tym, że kończy montowanie nagrań we Francji „L'ombre sur le Riff” i wybiera się na Wyspy Kanaryjskie, gdzie będzie kręcił kolejny film, „Tragédie sur la mer”. Zdradza też, że marzy mu się, by popracować w Polsce bądź ściągnąć polskich aktorów, np. Adolfa Dymśkę, do Paryża. Żaden ślad realizacji tych ambitnych planów się nie zachował, a o dalszych losach Jana Kucharskiego wiadomo niewiele, poza tym, że zmarł w Londynie 21 kwietnia 1964 roku.

Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny wyraziła chęć odkupienia albumu z fotosami „D'Elmoro” od prof. Gunnara Heinsohna. Ten nie wyklucza zgody na zawarcie transakcji. ©



WSPIERAMY POLSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

Już ponad **40** mld złotych

wsparcia w formie kredytów zabezpieczonych gwarancjami BGK.



www.bgk.pl

Polska babcia: - Dopadło nas 30

Agnieszka Kamińska
a.kaminska@prasa.gda.pl



Spoleczeństwo

Widzimy eskalację zachowań ze strony policji. Dziś pieprzowy gaz łzawiący jest używany regularnie. Nie zdarzało się wcześniej używanie pałek teleskopowych podczas zgromadzeń. Zatrzymuje się dziennikarzy, co jest absolutnie skandaliczne - mówił Adam Bodnar podczas obrad senackiej komisji ws. działań policji.

Protesty kobiet, które nie zgadzają się na zaostrenie prawa antyaborcyjnego, cały czas trwają. Podczas protestu, który odbył się 18 listopada w Warszawie, funkcjonariusz ubrany po cywilnemu bił pałką teleskopową demonstranta. Incydent sfilmowano, nagranie można zobaczyć w internecie. Przedstawiciel policji potwierdził, że w działaniach uczestniczyli nieumundurowani funkcjonariusze z Biura Operacji Antyterrorystycznych. Ich zadaniem, jak informowała policja, miało być „wyłapywanie ludzi prowokujących starcia i atakujących funkcjonariuszy oraz uczestników marszu”. Rzecznik stołecznej policji tłumaczył, że komenda ma nagranie dokumentujące użycia pałki w jednym przypadku wobec mężczyzny, który z kolei chciał wyrwać pałkę interweniującemu policjantowi. Interwencja, według policji, była więc w pełni uzasadniona. Podczas protestu policja użyła też gazu pieprzowego. Została nim potraktowana m.in. posłanka, która wcześniej pokazała policji poselską legitymację. Policja tłumaczy, że wzywała protestujących do przestrzegania obostrzeń związanych z epidemią - podczas nielegalnego zgromadzenia po kilkukrotnym wezwaniu do rozejścia się, grupa protestujących nie zastosowała się do komunikatów, więc została otoczona przez policjantów w celu wylegitymowania. Reakcja funkcjonariuszy - jak mówił przedstawiciel policji - była adekwatna, a wszystkie działania były reakcją na łamanie prawa przez demonstrantów. Poza tym, każdy, kto czuje się pokrzywdzony, ma prawo złożyć skargę na policjantów. Kilka dni temu głośno było też o fotoreporterce, która relacjonowała protest i którą zatrzymała policja. Według mundurowych, kobieta zaatakowała funkcjonariusza m.in. poprzez kopnięcie

jednego z nich. Inny przykład: po proteście został zatrzymany 17-latek, który miał naruszyć nietykalność cielesną policjanta. Na nagraniu widać, jak jest rzucony na ziemię przez policjanta i obezwładniany. Chłopak na komisariacie spędził dobę. Z kolei do 14-latka z Krapkowic zapukali policjanci, którzy chcieli porozmawiać z nim i jego rodzicami. Chłopak udostępnił w internecie informację o zaplanowanym proteście. Biuro prasowe policji wyjaśniało, że celem wizyty mundurowych miała być wyłącznie rozmowa profilaktyczno-informująca z jego rodzicami. „Super Express” podał, że mundurowi mieli wyraźnie zaznaczyć w obecności jego matki, że jeśli chłopak pojawi się na miejskim rynku, może mu grozić do 8 lat pozbawienia wolności - po 4 w poprawczaku i więzieniu. Janusz Kaczmarek, były Prokurator Krajowy i były szef MSWiA, wypowiedział się dla Wirtualnej Polski. Stwierdził, że podczas protestu kobiet w Warszawie mieliśmy do czynienia z eskalacją konfliktu ze strony mundurowych. Jego zdaniem, interwencje z użyciem środków przymusu bezpośredniego, które podejmowali funkcjonariusze ubrani po cywilnemu, wyglądały na prowokację. Do sprawy odniósł się też rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

- Widzimy eskalację zachowań ze strony policji. Dziś pieprzowy gaz łzawiący jest używany regularnie, także wobec posłanek. Nie zdarzało się wcześniej używanie pałek teleskopowych podczas zgromadzeń. Zatrzymuje się dziennikarzy, co jest absolutnie skandaliczne - mówił Adam Bodnar podczas obrad senackiej komisji ws. działań policji.

Dyrektor Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur (które działa w ramach biura rzecznika praw obywatelskich) Przemysław Kazimirski powiedział, że od 23 października do 23 listopada odbyły się 22 interwencje przedstawicieli biura w komendach.

- Rozmawialiśmy w sumie z 70 osobami. Łącznie w tym czasie zatrzymano 130 osób manifestujących. Najważniejsze ujawnione nieprawidłowości to: zatrzymani nie są pouczeni o swych prawach, zdarzają się nadużycia, np. dwa razy poddawano kontroli osobistej jedną osobę w jednej jednostce, brutalizacja sposobu zatrzymania - osoby rzucono na ziemię, dociskano nogą i wrzucano do radiowozu, brak legitymowania się policjantów i podawania podstawy prawnej



Walczymy o ważne sprawy z myślą o innych, nie skupiamy się na sobie - mówi Iwonna Kowalska (z prawej)

zatrzymania - poinformował przedstawiciel biura rzecznika. W internecie pojawiły się zdjęcia policjantów uczestniczących w interwencjach oraz wezwania dotyczące identyfikacji i publikacji wizerunków tych funkcjonariuszy. Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro napisał w oświadczeniu, że ujawnienie tożsamości policjantów jest nie tylko czynem niemoralnym i nieetycznym, ale też sprowadza na policjantów ryzyko utraty zdrowia, a nawet życia. Zapowiedział postępowanie wobec tych osób, które upubliczniły nazwiska i adresy policjantów.

Przypomnijmy, że w protestach w sprawie aborcji biorą

udział przede wszystkim kobiety. W marszach idą nastolatki, ale też - choć to nieliczna grupa - emerytki, w tym ze stowarzyszenia Polskich Babc. „Drogie babcie, łączmy się w całej Polsce. Pokażmy swoją siłę. Związujcie swoje grupy w innych miastach. Odczarujmy wizerunek babci stary, która już nie pamięta, jak straszną rzeczą była wojna i nie wie, że tamte złe czasy mogą wrócić. Zapraszajcie swoje znajome babcie do grupy. Jesteśmy grupą Polskich Babc, które postanowiły nie być obojętne na nienawiść, która ogarnia Polskę. Walczymy o przyszłość naszych wnuków. Chciałybyśmy, aby

wychowywali się w spokoju. Nie chcemy, aby komukolwiek zagrażała wojna. Wiele z nas ją przeżyło, wiemy, czym jest” - mówią Polskie Babcie.

Rozmowa

Nawet naziol zastanowi się, czy ruszyć na babcie i to w dodatku polskie - mówi Iwonna Kowalska, która należy do ugrupowania Polskie Babcie.

Dlaczego wy, babcie, chodźcie na protesty przeciwko zaostreniu prawa antyaborcyjnego? Ktoś mógłby powiedzieć, że ten prob-

lem nie dotyczy was bezpośrednio.

Chodzimy nie tylko na te ostatnie protesty. Zaczęłyśmy manifestować kilka lat temu w obronie konstytucji i wolnych sądów. W 2017 r. przez 3 miesiące stałyśmy co dzień rano z banerem pod Sądem Najwyższym. Na ten protest każda z nas przychodziła indywidualnie, z potrzeby serca, nie znałyśmy się wcześniej. Ale jak się tak stoi co dzień, to siłą rzeczy nawiązują się znajomości. Okazało się, że mamy bardzo podobne ideały i spojrzenie na świat. W ten sposób powstała grupa, która dołączała do różnych akcji protestacyjnych organizowanych np. przez Obywateli RP. Demonstrujemy w każdej sprawie, którą uważamy za ważną. W ub. roku 11 listopada stałyśmy i manifestowałyśmy przeciwko marszowi narodowców. Pamiętam, że wyzywano nas, polecały nawet w naszą stronę butelki. Nasza grupka emerytek była niewielka, liczyła kilka osób. W marszu szło zaś tysiące narodowców. To wydarzenie chyba najbardziej nas zjednoczyło. Protestowałyśmy też w obronie osób LGBT. Nie spodobało nam się stwierdzenie prezydenta, że LGBT to nie ludzie, a ideologia. Manifestujemy również teraz, bo nie zgadzamy się na przedmiotowe traktowanie kobiet w Polsce. Uważamy, że politycy nie powinni zmuszać kobiet do rodzenia śmiertelnie chorych dzieci. Kobiety powinny mieć prawo decydowania o tym. Ale nie chodzi tylko o aborcję. Jesteśmy przeciwko dewastacji państwa. Chcemy pozostawić naszym wnukom Polskę, w której będzie respektowana konstytucja. Polskę, która będzie państwem demokratycznym, tolerancyjnym i otwartym na świat. Postanowiłyśmy założyć własny ruch społeczny. Na początku listopada utworzyłyśmy stowarzyszenie i właśnie stawiamy formalności.

Nie boicie się?

Zawsze uważałam, że stanie na drodze rozwścieczonych narodowców może być niebezpieczne. Ale ten szyl „polskie babcie” działa niejako ochronnie, bo nawet naziol zastanowi się, czy ruszyć na babcie i to w dodatku polskie. Z ich strony najczęściej padają jednak tylko obelgi, choć na marszach bywa gorąco. Babcia w polskim społeczeństwie jest przecież kimś niezwykle ważnym, to

FOT. POLSKIE BABCIE / FACEBOOK

policjantów, byliśmy we cztery

wręcz instytucja. Nie można nie liczyć się z babcią. Nie boimy się, bo protestujemy w słusznej sprawie, innej możliwości niż wyjście na ulice, teraz nie ma.

W ostatnim czasie dużo mówi się o policji. Protestujący twierdzą, że funkcjonariusze brutalnie się do nich odnoszą. Czy pani też to odczuła? Opozycja i niektóre instytucje mówią o nadużyciach ze strony policji.

Zawsze zgłaszałyśmy nasze protesty i muszę przyznać, że policja odnosiła się do nas z dużą sympatią. Ale w ostatnich dniach coś się zmieniło. Gdy szłyśmy na demonstrację pod ministerstwo edukacji, dopadło nas 30 policjantów, byliśmy we cztery. Zrobiło się granatowo od mundurów. Zaczęli nas spisywać i straszyć. Pytałyśmy, dlaczego to robią, o co właściwie chodzi. Powiedzieli nam, że domniemują, iż idziemy na nielegalną demonstrację. Już samo to, że szłyśmy, było dla nich karygodne. Towarzyszyli nam filmowcy z Portugalii, którzy robili o nas film dla tamtejszej telewizji. I wygląda na to, że będą mieć świetny materiał o tym, jak traktuje się obywateli w Polsce. Doszło do awantury, policjanci chcieli nam wręczyć mandaty po 100 zł, których oczywiście nie przyjęłyśmy. W związku z tym będziemy miały sprawę w sądzie. I to tylko za to, że szłyśmy. Nie prote-

stowaliśmy, nie skandowałyśmy haseł. To było jakieś 2 km od miejsca, w którym miała odbyć się demonstracja. To wydarzenie świadczy o tym, że policja może zatrzymać każdego, kto gdzieś idzie. Koleżanka później dowcipkowała, że będzie bała się iść do toalety. Policja ewidentnie otrzymała odgórny nakaz, żeby zmienić stosunek do protestujących. Ale im bardziej policja będzie radykalna, to tym bardziej będzie to denerwowało protestujących, tym bardziej spirala agresji będzie się nakręcać.

Dlaczego policja tak nagle zmieniła stosunek do protestujących?

Może nie chodzi tylko o to, żeby przestraszyć protestujących. Wypuszczenie na protestujących antyterrorystów to nie była decyzja, która zapadła na poziomie policji. Ale to na policję wylał się hejt. Byłabym ostrożna w krytykowaniu policji. To dla mnie jasne, że antyterroryści mieli być tu prowokatorami. W obecnej policji są różne osoby, o różnych poglądach. My tych ludzi już znamy, wcześniej jednak nas chronili i byli nastawieni przyjaźnie. Wydaje mi się, że wiele osób szło do policji, kierując się ideałami, chcąc po prostu pomagać, dbać o porządek. Ale w ostatnich dniach funkcjonariusze brutalnie reagowali w czasie pokojowych protestów, było kilka takich przypadków. Zastanawiam się, czy

oni rzeczywiście zgadzają się na taką, ostrzejszą, formę interwencji. Jeśli w gronie rządzących dochodzi do przepychanek i dlatego zapadły decyzje o brutalnym tłumieniu protestów, albo jeśli chodzi o jakieś chore ambicje rządzących, to policjanci są ich ofiarami.

Jesteście bardzo popularne w internecie. Wasz profil na Facebooku polubiło prawie 25 tys. użytkowników.

Tak, to jest kapitalne! Jesteśmy zaskoczone tą popularnością, choć nasza grupa protestujących na ulicy jest niewielka. W internecie dołącza do nas bardzo wiele osób, również emerytów. Chciałybyśmy

Jesteśmy nadzwyczaj sprawne. Czasem nawet wskakujemy na płoty i mury. Można powiedzieć, że protesty nam służą

wyruszyć w teren, jeździć do innych miast i również tam manifestować. Byłyśmy już w Pułtusk i Piotrkowie Trybunalskim. Na razie jednak podróżowanie musimy odłożyć ze względu na pandemię. Wspaniałe jest to, że spotykamy się z ogromną sympatią ludzi młodych. Wielu z nich przychodzi na nasz protest, który co czwartek organizujemy na Rondzie de Gaulle'a

w Warszawie. Od początku Strajku Kobiet młodzi właściwie cały czas nam towarzyszą. Zależy nam na istnieniu w przestrzeni miejskiej. Na tym, by maszerować, rozdawać ulotki. Wielu emerytów przecież nie obsługuje internetu.

Jak pod względem kondycji znosicie protesty? Jednak jesteście babciąmi, a protesty wymagają krzepy. Poza tym, warunki atmosferyczne bywają różne.

Jesteśmy nadzwyczaj sprawne. Czasem nawet wskakujemy na płoty i mury. Mam krokomierz i zrobiłam wyliczenia. Okazało się, że tylko przez 4 dni Strajku Kobiet przeszłyśmy dystans 70 km. Można więc powiedzieć, że protesty nam służą i dzięki nim zachowujemy sprawność fizyczną. Bez wątplenia dzięki nim czujemy się młodziej. Przecież walczymy o ważne sprawy z myślą o innych, nie skupiamy się na sobie, nie narzekamy na choroby. Na protestach jesteśmy wśród młodych, to też działa jak kuracja odmładzająca. No oczywiście, są też takie babcie, które dołączają do nas tylko na chwilę albo solidaryzując się z nami mentalnie, bo są starsze lub czują się słabiej i nie są w stanie stać z transparentami.

Kim pani jest z zawodu?

Jestem poligrafką, przygotowuję książki do druku.

O, to ma pani umiejętności przydatne dla protestujących.

Tak, drukuję m.in. ulotki i transparenty na protesty. Te materiały tworzymy własnym sumptem. Mam 65 lat, jestem emerytką, zwykłą babcią. O, właśnie teraz opiekuję się 4-miesięczną wnuczką. W stanie wojennym wydawałam książki w politycznym podziemiu. Byłam bardzo zaangażowaną opozycjonistką. Moja mama była łączniczką Zbyszka Bujała. Pamiętam, że całe środowisko opozycji było zjednoczone. Wróg był jeden - komuna. Po latach ci dawni opozycjoniści podzielili się i, niestety, zaczęli ze sobą rywalizować. Oczywiście nie można porównywać tego, jak działaliśmy wtedy z tym, jak działamy teraz. Obecnie cały czas możemy protestować i wypowiadać głośno nasze poglądy, i trzeba to robić. Nie wolno przestawać.

No dobrze, a co z dziadkami? Panie protestują, a dziadkowie gdzie?

Mamy dwóch, stałych dziadków, którzy z nami protestują. Jeden należy nawet do grupy, która założyła nasze stowarzyszenie. Dziadkowie generalnie myślą, że jesteśmy wyłącznie ruchem kobiecym i że nie przyjmujemy mężczyzn, dlatego do nas się nie garną. Oczywiście dziadkowie są mile widziani. Nazwa „Polskie

babcie” jest symboliczna, może do nas należeć każdy, kto ma takie same ideały jak my, czyli chce dobrej przyszłości dla następnych pokoleń. Nie jest istotny wiek, płeć czy wyznanie. Należą do nas osoby niewierzące, ale i wierzące w Boga. Są babcie, które gorliwie wierzą w Boga, modlą się, ale przestały chodzić do kościoła, bo - według nich - Kościół jest upolityczniony.

Czy babciom nie przeszkadzają wulgaryzmy, które podczas protestów kierowane są do polityków lub które uidać na transparentach uczestników Strajku Kobiet?

Nie, nie przeszkadzają, strajkujące kobiety nie mają innego wyjścia. Jestem zachwycona tym mocnym, czasem wulgarnym, przekazem. Polskie kobiety w przeszłości nie protestowały z taką siłą. Zawsze były ugodowe, potulne i grzeczne. Gdy zaczęły mówić, że się nie zgadzają z decyzjami polityków, nikt ich nie słuchał, były ignorowane. Dlatego musiały zacząć mówić innym językiem, krzyknąć, wałnąć pięścią w stół, żeby ta władza w końcu się obudziła i zobaczyła, że nie można kobiet traktować przedmiotowo. Czas grzecznych kobiet w Polsce już się skończył.

Dokończenie na str. 28

MATERIAL INFORMACYJNY MSZ

Mali - wielcy bohaterowie w służbie zdrowia w Tanzanii

Czy szczur może otrzymać medal? Tak. Czy może okazać się lepszym narzędziem do badania niż mikroskop?

Tak. Czy może przyczynić się do ochrony zdrowia i życia człowieka?

Tak! Jakkolwiek nierealnie brzmią te stwierdzenia - są prawdziwe.

Gruźlica stanowi jedną z dziesięciu najczęstszych przyczyn śmierci w Tanzanii. Państwo to plasuje się wśród 30 państw, w których zachorowania na gruźlicę i spowodowane nią zgony utrzymują się na najwyższym poziomie. Według Światowej Organizacji Zdrowia w 2018 r. na gruźlicę w Tanzanii zachorowało 142 tys. osób, czyli 253 na 100 tys. mieszkańców. W państwach europejskich wskaźniki te są kilkakrotnie niższe. Dla porównania w Polsce w ostatnich latach odnotowuje się od nieco poniżej 6 do 8 tys. przypadków zachorowań rocznie (ok. 15 przypadków na 100 tys.). W państwach Unii Europejskiej przeciętna to 10,7 przypadków zachorowań na 100 tys. Wskaźnik zachorowań na gruźlicę wynoszący ponad 250 przypadków na 100 tys. osób (czyli podobny do obecnego w Tanzanii) odnotowywaliśmy w Polsce w latach 50. dwudziestego wieku. Dzięki powszechnym szczepieniom, profilaktyce i szybkiej diagnostyce udało się zahamować liczbę zakażeń. W Tanzanii w 2018 r. tylko 75 828 osób z gruźlicą zostało poddanych leczeniu, pozostałe 47% osób nie otrzymało opieki lekarskiej. Sektor zdrowia w Afryce

jest niedoinwestowany, brakuje leków, podstawowego sprzętu, wykwalifikowanego personelu, a nawet mebli. Najbliższa placówka medyczna może być odległa nawet o setki kilometrów od miejsca, gdzie przebywa zakażona osoba. Ale nawet jeśli taka placówka znajduje się w pobliżu, może okazać się, że nie posiada sprzętu do zdiagnozowania zakażenia gruźlicą. Szybka i pewna diagnostyka to pierwszy etap w skutecznej walce z tą chorobą.

Na problemy związane z diagnostyką i wykrywaniem zakażeń próbuje odpowiedzieć w Tanzanii m.in. organizacja APOPO. Organizacja nie polega jednak w swoich badaniach na specjalistycznym, skomplikowanym sprzęcie. Do tego celu zatrudnia... szczury. Zamieszkujące Afrykę Południową wielkoszczury południowe (Cricetomys aeneus) wykazują się niezwykłym węchem i inteligencją. Po odpowiedniej tresurze są w stanie wykrywać pożądane zapachy z ogromną precyzją i szybkością. Wykrywanie gruźlicy polega na testowaniu przez te zwierzęta próbek z płwociną osób potencjalnie chorych. Szczury wachają serię otworów w szklanej komorze, pod którą umieszczane są próbki płwociny. Kiedy szczur wykrywa



gruźlicę, wskazuje na to, trzymając nos w otworze lub drapiąc. Kluczową zaletą wykorzystania szczurów w wykrywaniu gruźlicy jest szybkość - jeden wyszkolony szczur może ocenić 40 próbek w ciągu 7 minut; diagnostyk w laboratorium potrzebuje na to jednego całego dnia. Jednocześnie według naukowców, obecne laboratoryjne metody wykrywania gruźlicy, chociaż w dużej mierze skuteczne, są dalekie od doskonałości.

Szczury zaś wykazują się skutecznością wyższą niż powszechnie stosowane podstawowe badania mikroskopowe. Organizacja APOPO z siedzibą w Morogoro w środkowej Tanzanii na terenie Uniwersytetu Rolniczego Sokoine szkoli szczury w kierunku diagnostyki gruźlicy od 2007 r. Przeciętne szkolenie szczura z wykrywania zapachów wynosi ok. 9 miesięcy. Po wytrenowaniu szczury mogą pracować od czterech do pięciu lat, po

czym przechodzą na emeryturę. Od 2015 r. wielkoszczury południowe rocznie oceniają w Tanzanii po kilkadziesiąt tysięcy próbek. To szybko i, co najważniejsze, tania metoda. Według APOPO wykrywalność gruźlicy w Tanzanii wzrosła dzięki ich programowi o 40%. Wytrenowane w Tanzanii zwierzęta wykrywają też gruźlicę w Mozambiku. Tu dzięki nim wykrywalność wzrosła o 48%.

Szkolenie wielkoszczurów w Tanzanii w zakresie diagnostyki gruźlicy możliwe jest również dzięki wsparciu Polskiej pomocy. Ochrona zdrowia jest bowiem jednym z priorytetów współpracy rozwojowej Polski z krajami afrykańskimi. W 2019 r. Ambasada RP w Dar es Salaam wraz z APOPO realizowała projekt, dzięki któremu rozszerzono program detekcji gruźlicy w Tanzanii przez szczury i zapewniono siedzibę APOPO ekologiczne i pewne źródło energii. Dzięki realizacji projektu kolejne kliniki w rejonie Dodomy i Morogoro zostały objęte programem wykrywania gruźlicy.

Ale wielkoszczury południowe stoją nie tylko na froncie walki z gruźlicą. Nazywane przez APOPO „HeroRATS” swoją pracę w organizacji rozpoczęły od... wykrywania min (także po zapachu).

Organizacja założona w 1997 r. przez Belga Barta Weetjensa skupiała się początkowo na szkoleniu szczurów w kierunku wykrywania min. Szczury, które, aby wykonywać swoje zadania, muszą po serii szkoleń uzyskać odpowiednią akredytację, rozminowały już część pól minowych w Mozambiku, Angoli, Palestynie i Kambodży. To między innymi dzięki wielkoszczurom wyszkolonym w Tanzanii przez APOPO, Mozambik został oficjalnie uznany za wolny od min przeciwpiechotnych w 2015 r. W Kambodży zaś, w której APOPO działa od 2014 r., wielkoszczur o imieniu Magawa został nagrodzony w 2020 r. medalem za odwagę w usuwaniu min. Medal przyznała mu brytyjska organizacja PDSA, zajmująca się ochroną i opieką m.in. nad zwierzętami wykorzystywanymi w policji, wojsku i innej służbie człowiekowi. Bohaterskie służby w wykrywaniu przemytu kości słoniowej i łusek łuskowców. Mali - wielcy bohaterowie będą mieli kolejną ważną misję do wypełnienia.

039923246



O czym dziś nam mówi polskie kino?



„Śniegu już nigdy nie będzie” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta



„25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” w reżyserii Jana Holoubka



„Sala samobójców. Hejter” Jana Komasy



„Sweat” Magnusa von Horna

Ryszarda Wojciechowska
rwojciechowska@prasa.gda.pl



45. FPFF

Legendarny pięściarz i influencerka, hejter i niesłusznie skazany na 25 lat więzienia, mistrz motocyklowy i ksiądz buntownik, to tylko część bohaterów filmowych, którzy pojawią się na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, rozpoczynającym się 8 grudnia.

Czym dzisiaj żyje polskie kino? To pytanie przed każdym festiwalem filmowym w Gdyni wraca jak bumerang. Ale odpowiedź nie jest prosta. Bo polskie kino już od lat nie oddycha jednym powietrzem. Nie cierpi, szczęśliwie, na bolączkę jednorodnych tema-

tów. W ubiegłym roku widać było wyraźny zwrot w stronę kina historycznego. I przez festiwalowe ekrany maszerowały nie tylko „Legiony” pod rękę z „Piłsudskim”, ale też „Kurier” czy „Obywatel Jones”.

W tym roku, z opisu filmów zakwalifikowanych do konkursu głównego festiwalu, też można wyczytać pewien trend - zwrot w stronę kina autorskiego, które próbuje „łapać” otaczającą nas rzeczywistość.

O czym są produkcje, które powalczą o Złote Lwy?

Film „Śniegu już nigdy nie będzie” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta to polski kandydat do Oscara. Można więc założyć, że jest jednym z faworytów w konkursie. Ale Gdynia lubi niespodzianki.

Akcja tego filmu rozgrywa się na podwarszawskim strzeżonym osiedlu, które zamieszkują dobrze sytuowani przedstawiciele klasy średniej. W uprzywilejowaną, z pozoru idealną przestrzeń wkracza On - przybysz ze

Wschodu o imieniu Żenia (w tej roli Alec Utgoff, brytyjski aktor, urodzony w Kijowie). Ten mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu chodzi od domu do domu i pomaga klientom, wykonując terapeutyczne masaże. Szybko jednak staje się dla nich kimś więcej: powiernikiem, przyjacielem, kochankiem, uzdrowicielem... Wraz z pojawieniem się bohatera w owym skostniałym, sztucznym świecie kszyczących dzieć się niewytłumaczalne rzeczy, które - jak można się domyślić - na zawsze odmienią jego oblicze.

„Sala samobójców. Hejter” Jana Komasy. To już również głośny film, nagrodzony m.in. na Tribeca Film Festival w Nowym Jorku. Bohaterem jest student prawa, wydany z Uniwersytetu Warszawskiego po tym, jak zostaje przyłapany na plagiacie. Postanawia ukrywać jednak ten fakt przed światem i nadal pobiera pomoc finansową

od swoich wcześniejszych sponzorów.

„Sweat” Magnusa von Horna - to poruszający i wyrazisty portret polskiej influencerki. Niezwykle współczesny film o nowym rodzaju samotności w czasach social mediów. Opowiada o trzech dniach z życia influencerki fitness, która dzięki popularności w mediach społecznościowych zyskała status celebrytki. W internecie ma setki tysięcy followersów, w realu otacza ją grupa lojalnych współpracowników, a na imprezach każdy próbuje do niej podejść i ją poznać. Jednak kiedy jest w domu i wyłącza telefon, zostaje zupełnie sama. Choć Sylwia z łatwością, spontanicznie i bez cenzury dzieli swoją codziennością z tysiącami nieznanymi jej prywatnie życia w ogóle nie przypomina kolorowego świata z Instagrama. Kiedy zdecyduje się umieścić w sieci odważne nagranie, będzie ono

początkiem serii wydarzeń, które staną się próbą zarówno dla niej, jak i dla nielicznych osób, które znają ją bliżej. W ciągu trzech dni Sylwia nieoczekiwanie odkryje ciemną stronę swojej popularności, a jednocześnie pozna prawdziwą bliskość.

„Amatorzy” Iwony Siekierzyńskiej to film w... teatrze. Teatr Krzyśka, Biuro Rzeczy Osobistych (tworzony przez niepełnosprawnych intelektualnie aktorów), wygrywa festiwal. Nagrodą jest zrealizowanie spektaklu w zawodowym teatrze. Wielka radość, wielka szansa, wielkie oczekiwania.

Ale na jednej z prób dyrektor teatru oświadcza, że głównej roli nie może zagrać ulubiona aktorka Krzyśka - Mary. Dyrektor jest bezlitosny: z bezzebną, sepleniącą Mary żadnej premiery nie będzie. Powinna ją zagrać młodsza, ładniejsza aktorka z lepszą dykcją. I wtedy zaczynają się problemy.

Zdjęcia do tego filmu kręcono w Trójmieście.

„Bliscy” Grzegorza Jaroszuka - film o związkach rodzinnych. Okazuje się, że powodem osobliwego, rodzinnego zjazdu jest zaginięcie matki. Ojciec sugeruje, że żona po prostu od niego uciekła. Dorosłe dzieci nie dają temu wiary i rozpoczynają na własną rękę poszukiwania. Kontakt z najbliższym otoczeniem szybko podsuwa pierwsze, zaskakujące tropy, które sugerują, że kobieta mogła mieć problem z hazardem.

„Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa” Macieja Kawulskiego. Opowieść o najniebezpieczniejszym gangsterze w Polsce, dla którego władza, bycie ponad stan i pieniądze stanowią priorytet. To film także o przyjaźni i miłości w czasach, w których pozwolenie sobie na emocje może okazać się tra-

Odpowiedź nie jest prosta

giczne w skutkach. W życiu bohaterka liczą się tylko dwie osoby - najbliższy przyjaciel i ukochana kobieta, a światem jego interesów rządzi przemoc.

„Magnezja” Macieja Bochniaka jest filmem kostiumowym, z akcją dziejącą się na pograniczu polsko-sowieckim, w latach 20. i 30. XX wieku.

Po śmierci szefa gangu i głowy rodziny, władza nad przestępczym klanem Lewenfiszów przechodzi w ręce jego córki - Róży. Razem ze swoimi siostrami kobieta kontynuuje szemrane interesy ojca i robi wszystko, by oprzeć się rosnącym w siłę sowieckim bandytom, którym przewodzi konserwatywny Lew. Tymczasem w cieniu rywalizacji dwóch potężnych rodzin, nierozłączni bracia - Albin i Albert Hudini - wcielają w życie swój przewrotny plan. Z pomocą uwodzicielskiej Heleny chcą okraść bank, w którym przechowywane są bogactwa Lewenfiszów.

Trochę taka łotrzykowska przygoda z czarnym humorem, pełna gwiazd, strzelanin, trupów i zwrotów akcji.

Film „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” w reżyserii Jana Holoubka, podobnie jak prawdziwa historia, która stała się kanwą scenariusza, już jest bardzo głośny. To opowieść o życiu Tomasza Komendy - młodego mężczyzny niesłusznie skazanego na 25 lat więzienia za gwałt i zabójstwo nastolatki. Twórcy filmu podejmują próbę znalezienia odpowiedzi na nurtujące do dziś wszystkich pytania. Jak to mogło się wydarzyć? I dlaczego niewinny człowiek musiał aż 18 lat czekać w celi na sprawiedliwość?

„Jak najdalej stąd” Piotra Domalewskiego. Reżyser w swoim drugim filmie (jego debiut „Cicha noc” zdobył Złote Lwy przed kilkanaście laty) tym razem na bohaterkę wybrał zbudowaną nastolatkę, która marzy o własnym samochodzie i większej życiowej samodzielności. Niespodziewane i tragiczne wiadomości z Irlandii, gdzie od lat pracuje jej ojciec, sprawiają, że wyrusza sama w daleką podróż. Los przeznacza jej nie lada wyzwanie - w imieniu rodziny ma sprowadzić ciało zmarłego do Polski. W Irlandii pozna inny świat i ludzi, którzy odmieniają jej podejście do życia.

„Zabij to i wyjedź z tego miasta” w reżyserii Mariusza Wilczyńskiego. To jedyna animacja w konkursie głównym, ale

już też niezwykle głośna. Realizowana przez 14 lat, premierowo pokazana na Berlinale i wyróżniona na festiwalu w Annecy animacja Wilczyńskiego, to - jak pisze dystrybutor - przepelniony czułością dialog z duchami, blues na cześć przyjaźni, pieczołowite wskrzeszanie: ludzi, miejsc, dialogów, neonów, dźwięków, a nawet smutki papierosowego dymu. Autobiograficzny, przywołujący atmosferę peerelowskiego dzieciństwa i dorastania w potransformacyjnej, nabierającej kolorów Polsce.

„Żużel” Doroty Kędzierzawskiej to ludzka historia ze sportem w roli głównej. Mistrz motocyklowy Lów jest obiektem westchnień kobiet i źródłem zazdrości rywali z toru. Pogodny, miły dla ludzi, „zwykajny”, ma frajdę z życia i tego, co robi. Jednak szelmowski uśmiech chłopaka skrywa codzienne zmagania ze strachem, widmem kontuzji i wypadków na żużlowych stadionach. Wszystko komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy Lów zakochuje się w pięknej Romie. Czy zakochany w prędkości i motorach zawodnik, dla którego sport jest nie tylko szaleństwem, młodzieńczą pasją, ale też ucieczką od szarej rzeczywistości, znajdzie w swoim sercu miejsce na prawdziwą miłość?

„Zieja” Roberta Glińskiego. Zdobywca już dwóch statuetek Złote Lwy na gdyńskim festiwalu, tym razem pokaże film o księdzu buntowniku, autentycznej postaci (Jan Zieja zmarł w 1991 roku) - kapłanie Szarych Szeregów i AK, współzałożycielu Komitetu Obrony Robotników. To opowieść o niepokornym duchownym, który nie godził się na świat, w którym żył i który wyprzedzał swoją epokę.

„Mistrz” Macieja Barczewskiego to historia legendarnego pięściarza Tadeusza „Teddy’ego” Pietrzykowskiego, który dzięki walkom na ringu ocalił swoje życie w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady Auschwitz-Birkenau. Oparty na prawdziwych wydarzeniach dramat, przedstawia nieznaną historię polskiego sportowca, który w miejscu zagłady stał się symbolem nadziei na zwycięstwo.

„Tarapaty 2” Marty Karwowskiej są opowieścią rodzinną, rzadko w konkursie głównym ogladaną. Kiedy z Muzeum Narodowego w Poznaniu znika perła kolekcji - „Plaża w Pourville” Claude’a Moneta, a o kradzież zostaje fałszy-

wie oskarżona ciotka Julki - dzieci muszą odnaleźć obraz i odkryć tożsamość prawdziwego złodzieja. Zgrany duet rozpoczyna śledztwo, ale na horyzoncie pojawia się Felka, zwariowana 12-latką, a razem z nią kłopoty. Opowieść o zazdrości i zaufaniu przeplata się z rozwiązywaniem zagadki kryminalnej.

Tomasz Kolankiewicz, dyrektor artystyczny 45. festiwalu filmowego w Gdyni, pytany o nowe trendy w polskim kinie, odpowiada, że ciekawy obraz świata wyłania się z produkcji tzw. kina artystycznego, czyli tzw. arthouse’owego, w których pojawia się próba refleksji nad zmieniającym się społeczeństwem.

- Film Małgorzaty Szumowskiej „Śniegu już nigdy nie będzie” jest takim spojrzeniem na kondycję polskiej klasy średniej. Film „Sweat” Magnusa Homa portretuje instagramek, influencerkę. Ale nie koncentruje się tylko na blichtrze świata celebrytów, lecz także na jej życiu wewnętrznym, na pustce emocjonalnej, która ją otacza.

W podobnym klimacie jest „Sala samobójców. Hejter”, w którym oprócz hejtu sportretowane są też klasowe podziały w społeczeństwie, niespełnione ambicje. Te filmy są ciekawym komentarzem do otaczającej nas rzeczywistości. Do tego, jak wygląda kondycja naszego społeczeństwa w dobie mediów społecznościowych i głębokich podziałów, nie tylko politycznych, ale też ekonomicznych. Widać też pewien zwrot w stronę kina gangsterskiego, popularnie nazywanego w latach 90., w czasach filmów „Psy” czy „Młode wilki”, kinem bandyckim. Teraz też widoczny jest zwrot w kierunku tego gatunku. Filmy pokazują świat przestępczy, często pozbawiony prawideł, w którym szuka się jakiejś formy sprawiedliwości.

Na innym biegunie są filmy, w których twórcy opowiadają historię, przefiltrowaną przez swoją artystyczną wrażliwość. I tutaj dobrym przykładem może być film Mariusza Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta”. To pełnometrażowa animacja, niesłychanie piękna i poruszająca. Bardzo osobisty film, nad którym Wilczyński pracował ponad dziesięć lat. To opowieść zarówno o jego rodzinnym mieście Łodzi, ale też o relacjach z rodzicami - opowiada Tomasz Kolankiewicz.

Jego zdaniem, obiecująco zapowiada się też konkurs kina krótkometrażowego, w którym prezentowane są filmy młodych twórców.

Na pytanie - co młodym w duszy gra, odpowiada, że już pojawiły się pierwsze filmy „covidowe”, które opowiadają nie tyle o samej pandemii, ale o tym, jak człowiek reaguje na to, co niespodziewane. Zauważalny jest też zwrot młodych w stronę gatunku, który nie cieszył się w ostatnich latach popularnością w polskim kinie - czyli science fiction. Wiele jest też filmów o imigrantach żyjących w Polsce, głównie tych z Ukrainy - podsumował dyrektor Tomasz Kolankiewicz.

To będzie festiwal inny niż wszystkie do tej pory. Bez czerwonego dywanu i gwiazd na żywo, w sieci i bez publiczności. Ale na pewno z filmami, które wiele obiecują.

© P

REKLAMA

009929610



Zatrudni w Gdańsku:

(Wrzeszcz i Śródmieście)

Pokojowe w hotelach

Jesteśmy Zakładem Pracy Chronionej, szukamy osób niepełnosprawnych jak i pełnosprawnych. Doświadczenie nie jest niezbędne, szkolimy przed rozpoczęciem pracy.

OBOWIĄZKI:

sprzątanie pokoi hotelowych i powierzchni wspólnych

OFERUJEMY:

- umowę o pracę lub zlecenie, praca może być stała lub dodatkowa
- wynagrodzenie od 12 zł/h netto (regularne i terminowo wypłacane)
- dofinansowania z zakładowego funduszu rehabilitacyjnego osób niepełnosprawnych, np. zakup leków, okularów, dojazdów do pracy i inne
- pełne umundurowanie oraz sprzęt niezbędny do pracy

Zainteresowane pracą osoby prosimy o kontakt

tel. 724 004 662

REKLAMA

009962420



AGENCJA
MIENIA
WOJSKOWEGO

DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W GDYNI

*działając zgodnie z art.35 ust. 1 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami (tj. Dz. U. z 2020 r. poz.65)*

informuje, że

na tablicy ogłoszeń w siedzibie OReg AMW w Gdyni (tablica ogłoszeń na I piętrze), został wywieszony oraz opublikowany na stronie Agencji www.amw.com.pl, WYKAZ dotyczący nieruchomości przeznaczonych do oddania w najem w trybie bezprzetargowym:

- miejsce postojowe nr 14 położone w budynku nr 41 przy ul. Bosmańskiej w Gdyni, zapisanym w KW nr GD1Y/00065996/9,
- miejsce postojowe nr 16 położone w budynku nr 41 przy ul. Bosmańskiej w Gdyni, zapisanym w KW nr GD1Y/00065996/9,
- miejsce postojowe nr 37 położone w budynku nr 41 przy ul. Bosmańskiej w Gdyni, zapisanym w KW nr GD1Y/00065996/9,
- miejsce postojowe nr 22 położone w budynku nr 3 przy ul. L. Pasteura w Malborku, zapisanym w KW nr GD1M/00057842/7,
- miejsce postojowe nr 32 położone w budynku nr 3 przy ul. L. Pasteura w Malborku, zapisanym w KW nr GD1M/00057842/7,
- miejsce postojowe nr 12 położone w budynku nr 5 przy ul. L. Pasteura w Malborku, zapisanym w KW nr GD1M/00057842/7,
- miejsce postojowe nr 19 położone w budynku nr 7 przy ul. L. Pasteura w Malborku, zapisanym w KW nr GD1M/00057842/7,

Wykaz wywieszono na okres od dnia 27.11.2020 r. do dnia 18.12.2020 r.

Osobom, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu w/w nieruchomości - zgodnie z przepisami art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy o gosp. nieruchomościach (tekst jednolity Dz.U z 2020 poz. 65), termin do złożenia wniosku upływa z dniem 08.01.2021 r.

Informacje na temat nieruchomości można uzyskać w siedzibie OReg AMW w Gdyni przy ul. M. Curie – Skłodowskiej 19 (pok. 130) tel. (058) 690 - 87 - 74.

Oddział Regionalny AMW w Gdyni
ul. M. Curie-Skłodowskiej 19 • 81-231 Gdynia
tel. (58) 501 88 00 • fax (58) 690 87 01
www.amw.com.pl • gdynia@amw.com.pl

WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ

Boję się, że mogę zostać okra

Dorota Abramowicz
d.abramowicz@prasa.gda.pl



Ludzie

Wydarzenie to zbulwersowało środowisko kolekcjonerów w całej Polsce. Przed ponad dwoma laty policja zabrała cenny zbiór należący do gdyńskiego kolekcjonera Jacka Urbańskiego. Samemu kolekcjonerowi nie postawiono żadnych zarzutów. Ostatnio w jego sprawie posel z Gdyni interweniował u Jarosława Kaczyńskiego, a prokuratura zawiadomiła o umorzeniu dochodzenia. Tylko co ze zbiorem? - Boję się, że mogę zostać okradziony - mówi Jacek Urbański. - W majestacie prawa.

Zbiór liczy dokładnie 13 069 sztuk. Głównie zabytkowe monety, wśród nich cenna pamiątka rodzinna, ofiarowana małemu Jackowi przez dziadka, Juliana Samulewicza - trzygroszówka Augusta III. To także zbiór plomb, gdańskich żetonów, odważników, starych psich numerków i znaków pielgrzymich z kolekcji niezjącego profesora Jerzego Wiśniewskiego.

Jacek Urbański przez ponad pół wieku kupował, zamieniał, a także dziedziczył stare przedmioty. Pytany o wartość zbioru milczy przez dłuższą chwilę.

- Podchodzę do sprawy emocjonalnie, aż się trzęsę - mówi wreszcie. - To cały mój majątek. Jest tam dużo monet wycenianych na 1-2 tys. zł. Plakietki też są coś warte. A przecież łącznie to kilkanaście tysięcy rzeczy. Oprócz kolekcji, którą zbierałem ponad 50 lat, nie posiadam nic.

W sierpniowy ranek 2018 roku, o godzinie 6 rano do mieszkania Jacka Urbańskiego weszli policjanci. Pokazując postanowienie podpisane przez prokurator Joannę Świątek z Prokuratury Rejonowej w Gdyni, zażądali wydania trzech monet, czyli

„zbiorów zabytkowych monet datowanych na okres średniowiecza, późniejszego osadnictwa, bitew napoleońskich i okresu II wojny światowej”, które kilka miesięcy wcześniej kolekcjoner wystawił do sprzedaży na jednym z portali w Internecie.

Kiedy Urbański poprosił o wizerunki konkretnych monet, policjant stwierdził, że zapomniiał zdjęć, ale może zabrać wszystko, co Urbański ma. Szybko załatwiono ogólnikowy nakaz podpisany przez kolejną panią prokurator, który obejmował wydanie rzeczy „mogących stanowić dowód w sprawie, których posiadanie jest zabronione i mogących służyć do popełnienia przestępstwa”. Nakaz obejmował też zabranie nowiutkiego komputera.

Do mieszkania Urbańskiego dojechali pracownicy Wojewódzkiego Urzędu Konserwatora Zabytków. - Była to kobieta i mężczyzna, z którym niegdyś miałem konflikt podczas Jarmarku Dominikańskiego - wspomina pan Jacek. - To on przekonał swoją przełożoną, by zabrano całe zbiory.

Wszystko spakowano do dziesięciu kartonów. - Policja nie chciała zostać w mieszkaniu, by sfotografować i spisać zabierane przedmioty - twierdzi Urbański. - Byłem z nimi sam, grożono mi, że jak ich nie wydam, zostaną oskarżony o czynną napast. W końcu obiecali, że jeśli podpiszę zgodę na zabranie kolekcji, pozwolą mi przyjść do komisariatu i tam wszystko spisać i sfotografować.

Przez kilka tygodni dzwonił codziennie na policję, by umówić się na udokumentowanie kolekcji. Zgodę dostał dopiero w połowie września.

A potem już nikt się nim nie interesował.

O co tu chodzi?

Kiedy przed dwoma laty pierwszy raz pisałam o sprawie gdyńskiego kolekcjonera, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Gdańsku Grażyna Wawryniuk wyjaśniała, że postępowanie wszczęto w sprawie, a nie przeciw komuś.



Zdjęcia zabranych monet, robione przez policyjnego fotografa, są bardzo niewyraźne. Trudno dokładnie sprawdzić poszczególne egzemplarze

Przedmioty w domu Urbańskiego zabezpieczono na poczet postępowania, zaś zadaniem śledczych jest ustalenie, czy nie zostały one pozyskane nielegalnie.

Co musieli sprawdzić biegli? Chodziło o zbadanie, czy zbiory Urbańskiego nie powinny być zakwalifikowane do zabytków archeologicznych, które stanowią własność państwa. Według prawa osoba, która odkryła taki zabytek i przechowuje go w domu, popełnia przestępstwo i naraża się na odpowiedzialność karną. Każdy, kto odnalazł przedmiot, co do którego ma podejrzenie, że może być zabytkiem archeologicznym, ma obowiązek niezwłocznie o tym powiadomić konserwatora zabytków, a także odpowiednio zabez-

Kiedy poprosił o wizerunki monet, policjant stwierdził, że zapomniiał zdjęć, ale może zabrać wszystko, co Urbański ma

pieczyć zabytek i miejsce jego odnalezienia.

Przepis ten wymierzony jest w tzw. kopaczy, czyli nielegalnych poszukiwaczy skarbów, chodzących po lasach i polach z wykrywaczami i niszczących stanowiska archeologiczne.

Jacek Urbański wykrywacza nie posiada, jest starszym, schorowanym człowiekiem, a przedmioty do kolekcji kupił lub odziedziczył.

- Po II wojnie światowej prawo w Polsce się zmieniło, ale to nie znaczy, że posiadanie w swojej kolekcji monet mogących pochodzić z wcześniejszych znalezisk jest nielegalne i teraz mogą być one zaliczane do zabytków archeologicznych - tłumaczy Edward Zimmermann, publicysta historyczny, sekretarz Gdyńskiego Klubu Kolekcjonerów. - Zabytkiem archeologicznym jest przedmiot związany z kontekstem - np. warstwą kulturową, w której się znajduje, lub choćby z określonym fragmentem pola, gdzie go odkryto. Nie są więc zabytkami archeologicznymi np. monety średniowieczne i inne drobne artefakty pochodzące z dawnych kolekcji, a głównie takie

walory kolekcjonerskie trafiły do Jacka Urbańskiego.

Skarby nie tylko z fortyfikacji

Poważną część zarekwirowanych zbiorów stanowiły przedmioty pochodzące z kolekcji zmarłego przed trzema laty prof. Jerzego Wiśniewskiego, odznaczonego przez ministra kultury Złotą Odznaką za Opiekę nad Zabytkami. Był to jeden z największych kolekcjonerów przedmiotów z cyny, którego zbiory prezentowano podczas wielu wystaw muzealnych. Rodzina profesora przekazała Urbańskiemu plomby, gdańskie żetony, odważniki, psie numerki z XIX-wiecznego Gdańska, średniowieczne znaki pielgrzymie, naparstki.

- Wielokrotnie byłem u profesora w domu i miałem okazję zapoznać się z jego ogromną kolekcją - wspomina Edward Zimmermann. - Opowiadał mi, że przybył do Gdańska w 1945 roku, wkrótce po ustaniu działań wojennych. Mieszkał we Wrzeszczu. Pan Jerzy nadzorował pracę Niemców skierowanych m.in. do odgruzowywania miasta i do odbudowy

Politechniki Gdańskiej. Do stopniowo wysiedlanych w 1945 r. Niemców docierały informacje, że zanim pociąg dotrze nad Odrę, muszą się spodziewać wielokrotnych grabieży dobytku. W tej sytuacji wiele cennych rzeczy ukrywano w najróżniejszych schowkach, z nadzieją na powrót do Gdańska. Część z takich przedmiotów Niemcy wymieniali za jedzenie, lekarstwa lub rzeczy, których potrzebowali, żeby przetrwać do czasu wysiedlenia. Wśród cennych przedmiotów zdarzały się też zbiory monet i różnych wartościowych walorów kolekcjonerskich, które trafiały do przybyszów z głębi Polski i z Kresów Wschodnich. Wielokrotnie słyszałem od kolekcjonerów starszego pokolenia, w tym również od pana Wiśniewskiego, że znaczną część zbiorów dawnych gdańskich kolekcjonerów stanowiły stare monety, żetony, liczniki, odważniki do monet oraz plomby towarowe itd. znajdowane w dużych ilościach podczas likwidacji ciągnących się kilometrami ziemnych fortyfikacji miejskich pod koniec XIX wieku.

Edward Zimmermann wskazuje, że kolejnym, ważnym kolekcjonerem, od którego Jacek Urbański pozyskał duże ilości monet i innych artefaktów, był emerytowany lekarz weterynarii Stanisław Urawski z Rumi (zmarł w 2013 r.). Przez kilkadziesiąt lat zbierał on monety oraz inne pamiątki przeszłości, na co przeznaczał znaczną część swoich zarobków. Kupował je w sklepach numizmatycznych, głównie w Krakowie, Warszawie i Gdańsku, ale także nabywał całe zbiory monet i innych artefaktów od sędziwych gdańskich kolekcjonerów lub ich potomków. Sprzedający opowiadali Urawskiemu, że znaczna część monet i innych dawnych pamiątek przeszłości należała wcześniej do kolekcjonerów z Wolnego Miasta Gdańska, wysiedlonych po wojnie. Dr Urawski na spotkaniu Sekcji Historycznej przynosił też niekiedy pordzewiałe blaszane pudełka z nie-



dziony. W majestacie prawa

mieckimi napisami, w których znajdowały się różne dawne plomby, żetony, flakoniki apteczne, wyroby kościane i inne artefakty.

- Informacje dotyczące nabywania przez Jacka Urbańskiego kolekcji monet i innych artefaktów ze zbioru Stanisława Urawskiego potwierdził także Marek Seyda, prezes Gdynińskiego Klubu Kolekcjonerów oraz inne osoby - mówi Edward Zimmermann.

Trybunał pogroził palcem

- Przez ponad dwa lata w mojej sprawie nie wydarzyło się nic - mówi Urbański. - Prokurator do tej pory mnie nie przesłuchał. Po pierwszym roku napisaliśmy zażalenie na postępowanie prokuratury. Odpowiedziano mi, bym już więcej na prokuratora nie pisał, bo mi nic nie przysługuje.

Sąd Okręgowy w sierpniu ub.r. orzekł, że prokurator musiał zawiesić postępowanie, bo czeka na opinię biegłych. A ze względu na ogromną ilość dowodów biegli mogą nad opinią pracować nawet rok.

Urbański najbardziej denerwował się o zbiory. Dowiedział się, że są w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku. - Chociaż formalnie nikt tego nie zabrał, nieoficjalnie usłyszałem, że rzeczoznawcy prowadzą nad nimi badania i że państwo chce mnie „rozkułaczyc” - twierdzi Jacek Urbański. - Pyta pani, jak to możliwe? Jakiś czas temu rozmawiałem z Waldemarem Nowakowskim, weteranem Armii Krajowej, powstańcem warszawskim, który współpracował z Muzeum Powstania Warszawskiego. Przeżył podobną do mojej historię, w jeszcze bardziej ekstremalnej postaci.

O Waldemarze Nowakowskim, który przez ponad pół wieku zbierał starą broń, media rozpisywały się przed dwunastoma laty. Powstaniec miał zaświadczenie, że przedmioty będące w jego zbiorach formalnie nie są bronią (nie można było z nich strzelać bez specjalnych prze-

róbek), a swoją kolekcję, której najstarszy egzemplarz pochodził z 1889 r., nieraz prezentował na wystawach. W lipcu 2008 r. po rewizji w domku letniskowym weterana zajęto 199 sztuk zabytkowej broni (w tym np. XIX-wieczny pistolet dla rowerzystów do... odstraszania psów), zaś jego samego oskarżono o nielegalne posiadanie broni.

Sprawa trafiła do sądu, który nakazał skonfiskować większość kolekcji, a kombianta skazał na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. Kiedy sąd apelacyjny nie zmienił decyzji sądu niższej instancji, Nowakowski odwołał się do Strasburga. Trybunał w Strasburgu uznał, że Polska naruszyła prawo do spokojnego korzystania z własności i nakazał wypłatę odszkodowania powstańcowi oraz zwrócenie mu kolekcji.

- Pan Nowakowski ciężko przeżył walkę o swoją własność i o dobre imię - mówi Jacek Urbański. - Słyszałem też, że mimo wyroku nie odzyskał w całości swoich zbiorów,

Dlaczego ani mnie, ani mojego prawnika nie poinformowano o umorzeniu postępowania? - pyta. - I czy to w ogóle o mnie chodzi?

z których część trafiła w obce ręce. Już nie walczy. Jest teraz bardzo chory i nadal uważa, że spotkała go krzywda.

Od konfiskaty majątku jest sąd

Latem 2020 r. minął rok dany przez sąd biegłym na ocenę, czy kolekcja gdynianina składa się z zabytków archeologicznych.

Jesienią tego roku do pana Urbańskiego odezwali się policjanci. 23 września wysłano zaawizowanie, że jego komputer po dwóch latach nadal uznawany jest za dowód rzeczowy. Następnego dnia po odebraniu pisma zadzwoniła pani aspirant informując,



Nie mam już zaufania do tych, którzy przejęli zbiory - mówi Jacek Urbański, któremu przed dwoma laty policja zarekwirowała cenną kolekcję

że komputer jednak może odebrać. Dlaczego? - Zmieniła się pani prokurator, która ma inny punkt widzenia - przekazała.

Komputera nie mógł podłączyć, bo bateria w ogóle nie działała. Nie mógł też znaleźć zdjęć zbiorów, bo prawdopodobnie skonfigurowano twardego dysku. Komputer oddał do naprawy. Wtedy zdecydował, by poprosić o interwencję gdynińskiego posła Platformy, posła Tadeusza Aziewiczza

- Po zapoznaniu się ze sprawą pana Urbańskiego uznałem, że zachowanie struktur państwowych wobec kolekcjonera wydaje się bulwersujące - mówi Tadeusz Aziewicz. - Zwróciłem się 12 listopada

do wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego, jako osoby mającej nadzór nad Ministerstwem Sprawiedliwości, z zapytaniem w sprawie prawdopodobnego naruszenia praw obywatelskich.

Pytam o przewlekłość postępowania w sprawie pana Urbańskiego, czy działania podmiotów uczestniczących w rewizji i przejęciu kolekcji były zgodne z prawem oraz jaki jest status kolekcji i czy bez wyroku sądu możliwe jest uniemożliwienie dysponowania zbiorami, będącymi jego własnością.

Pismo posła zostało przekazane także do wiadomości Adama Bodnara, rzecznika

praw obywatelskich. Wiadomo już, że wicepremier przekazał interpelację do Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Sprawa wydaje się co najmniej dziwna - przyznaje Tadeusz Aziewicz. - Jeśli komuś coś się zarzuca, powinien być ciąg dalszy.

Konfiskatę majątku musi orzec sąd, a tu mamy do czynienia praktycznie z zatrzymaniem czyjejs własności. Ktoś ponosi odpowiedzialność za szereg trudnych do zrozumienia działań.

Prokurator - zatwierdzono umorzenie

Pytam we wtorek w Prokuraturze Okręgowej w Gdańsku

o stan śledztwa w sprawie kolekcji Jacka Urbańskiego.

Pismo, podpisane przez prokuratora Mariusza Duszynskiego, przychodzi w środę, 25 listopada. Czytamy w nim: „Odpowiadając na pytanie dotyczące postępowania przygotowawczego (...) Prokuratury Rejonowej w Gdyni, prowadzonego w sprawie kradzieży 13 069 przedmiotów stanowiących zabytki archeologiczne w rozumieniu ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami z dn. 23 lipca 2003 r. uprzejmie informuję, że w dn. 13 października 2020 r. prokurator zatwierdził postanowienie o umorzeniu dochodzenia prowadzonego w tej sprawie. Postanowienie o umorzeniu nie jest prawomocne”.

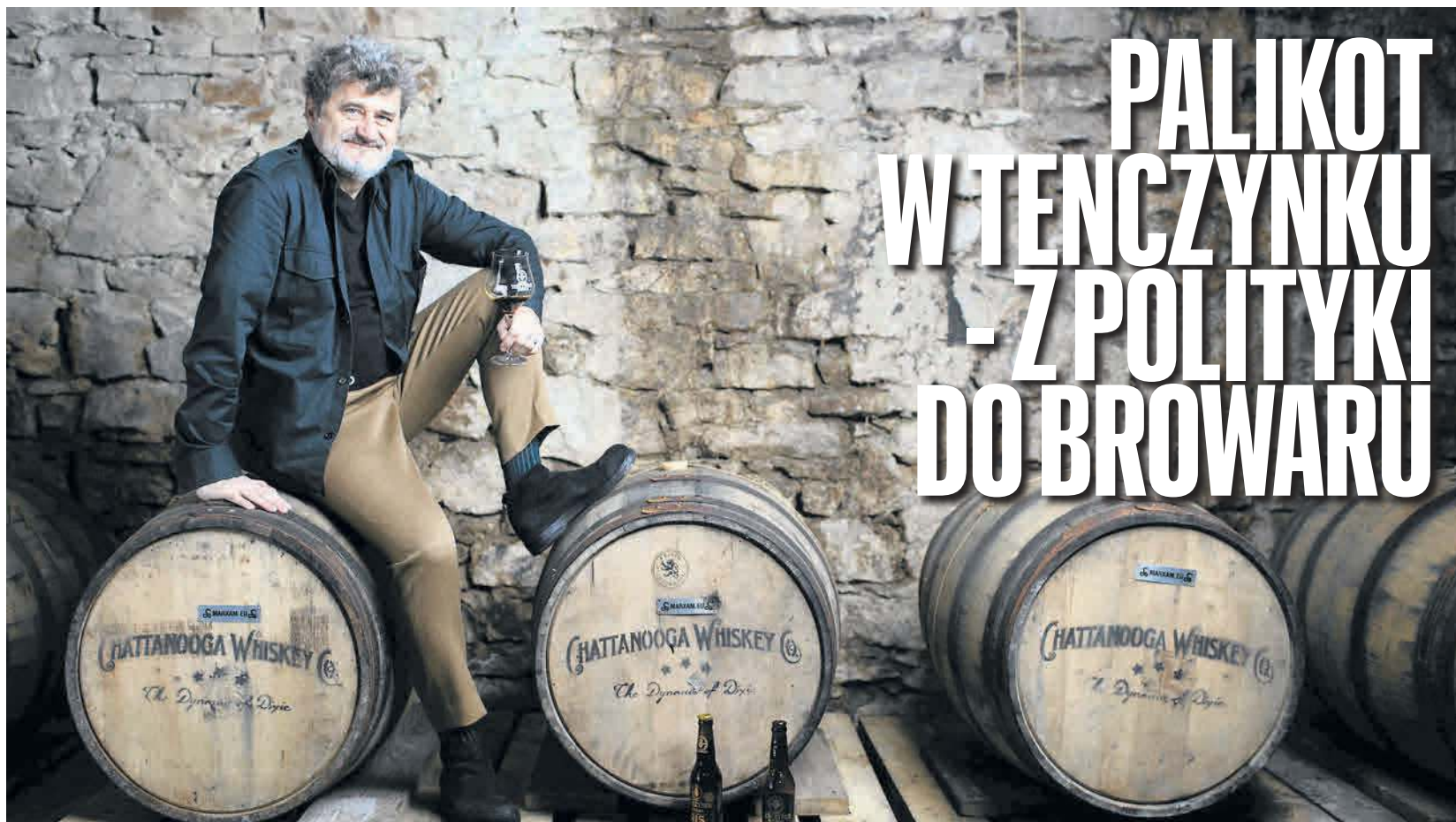
Jacek Urbański jest zaskoczony informacją z prokuratury.

- Dlaczego ani mnie, ani mojego prawnika nie poinformowano o umorzeniu postępowania? - pyta. - I czy to w ogóle o mnie chodzi? Przecież nikt nigdy nie oskarżył mnie o kradzież, a teraz umorzono postępowanie. I najważniejsze - co dzieje się z odebranymi przedmiotami? Czy w związku z tym mogę wystąpić o zwrot własności? Przyznam się pani, że nie mam już zaufania do tych, którzy przejęli zbiory. Proszę pamiętać, że uniemożliwiono mi zrobienie dokładnej dokumentacji. Zdjęcia robiono na szybko, są niewyraźne, nie opisano dokładnie całego zbioru. Boję się, że moja kolekcja zostanie rozkradziona.

Posel Tadeusz Aziewicz deklaruje, że będzie przyglądać się tej sprawie. I chyba warto, bo - jak mówił przed dwoma laty nieżyjący już dr Jarosław Dutkowski, prezes Stowarzyszenia Numizmatyków Profesjonalnych, rzeczoznawca i biegły sądowy w dziedzinie numizmatyki, losy zbioru Urbańskiego pokazą, czy kolekcjonerzy monet i właściciele zabytkowych zbiorów będą się mogli czuć w Polsce bezpieczni. Bo przecież do każdego można zawiązać po zbiór monet lub cenny obraz o godzinie 6 rano.

©©





Palikot „siedzi” w alkoholach od 30 lat. Zaczęło się od win musujących. Potem była słynna żółdkowa gorzka. Dziś zajmuje się głównie piwami rzemieślniczymi



Maria Mazurek
maria.mazurek@polskapress.pl

Rozmowa

Był jednym z bardziej kontrowersyjnych polityków. Wielu wciąż pamięta, jak przyszedł na wywiad telewizyjny ze świńskim łbem. Wypowiadał się dosadnie, był ekscentryczny, według niektórych - wulgarny. Kilka lat temu odszedł z polityki i zainwestował w podkrakowski browar.

Gdzie podziwia się Janusz Palikot?

Niedaleko Krakowa, w browarze. Precyzyjniej: mieszkam w dalszym ciągu w Lublinie, tu mieszkają moje dzieci, mam dom rodzinny. Ale co najmniej dwa dni w tygodniu, czasem więcej, spędzam w Tenczynku, gdzie prowadzi browar. Zabytkowy, z tradycjami, z połowy XVI wieku. Zbudowali go Tenczyńscy, bardzo wpływowi w Małopolsce rodzina, mieli zamek w Rudnie. Potem dużo się

działo, browar przechodził z rąk do rąk, w 2008 roku trafił do Marka Jakubiaka. Jak odszedłem z polityki, zainteresowałem się rynkiem browarniczym, niezwykle ciekawym - bo przechodzimy właśnie rewolucję piwną, zmieniają się trendy. Postanowiłem odkupić browar od Jakubiaka.

To całkiem zabawne, że akurat od niego.

Ja przejąłem jego browar, on usiadł na moim miejscu w Sejmie. Dokładnie tym samym, gdzie ja siedziałem rok wcześniej. Ironia losu, prawda?

Prawda, bo bardzo się z Markiem Jakubiakiem różnicie.

No tak. Poza sympatią do piwa nic nas nie łączy. Choć nie podzielam praktycznie żadnych jego poglądów społecznych i politycznych, to jeśli chodzi o przywracanie lokalnego przemysłu, to Jakubiak ma pewne zasługi, przyznaję. Wyciągnął ten browar z zupełnej zapaści, tak że w ogóle ruszyła tam produkcja. My ją potem kilkakrotnie zwiększyliśmy, uruchomiliśmy linię rozlewniczą...

Pan już zawsze będzie kojarzył się z mocnymi alkoholami, na czele ze słynną żółdkową gorzką - ale widzę, że wkręcił się pan w piwo?

Tak. Szczerze mówiąc, z alkoholi zawsze najmniej interesowało mnie piwo. Nie piłem go, nie lubiłem, wolałem zawsze mocniejsze alkohole. Bardzo różne, ale mocniejsze. Teraz, po tych kilku latach poznawania możliwości piw prosto z tanka, świeżych, niepasteryzowanych - albo tych leżakowanych w beczkach po różnych alkoholach - doceniam ten alkohol, potrafię o nim rozmawiać godzinami. No ale są pewne okazje, do których wódka po prostu najbardziej pasuje.

Wesela, stypy, rozwody?

Tak. Albo pewne pory roku i dania. Piję wódkę, w niewielkich ilościach, gdy robi się chłodno, nieprzyjemnie - w listopadzie, grudniu, styczniu. I do pewnych dań. Na przykład do dobrze zrobionego śledzia ze świeżo tłoczonym olejem lnianym. Do tego wódka jest najlepsza - chociaż i dobrze nachmielony pils da radę.

Pan powiedział, że mamy w Polsce rewolucję piwną. Na czym ona polega?

Zaczęło od tego, że rynek piwa jest w Polsce bardzo dużym rynkiem, trzecim do co wielkości w Europie - a być może po covidzie nawet drugim, takie są wstępne doniesienia. I jest to rynek stabilny, od 2012 roku praktycznie nie rośnie.

To gdzie ta rewolucja?

No właśnie. Rynek nie rośnie, ale podlega istotnym zmianom. Mianowicie: część konsumentów zdecydowała się kupować piwa wyższej jakości, mniej przemysłowe, bardziej regionalne, rzemieślnicze. Piwa, które, owszem, są droższe, ale warzone według tradycyjnej receptury, w których bardziej wyczuwa się słód, chmiel. Ta rewolucja nie jest w Polsce niczym niespodziewanym, wszystko zaczęło się około 30 lat temu w Stanach Zjednoczonych, gdy doceniono piwa górnej fermentacji, tak zwane IPY. One niesamowicie zrewolucjonizowały rynek piwowarski w USA. Przed rewolucją w Stanach trzy duże grupy piwowarskie kontrolowały ponad 90 proc. rynku. W tym

momencie mamy w USA ponad 5 tysięcy małych browarów i one stanowią ponad 50 proc. rynku całego piwa. W Polsce ten proces zaczął się później i nie zaszedł tak daleko.

Dlaczego?

Te same koncerny, które straciły rynek w USA, są obecne również w Polsce. I one po prostu się zorientowały, że nie można lekceważyć małych producentów - bo oni wcześniej czy później okazują się dużymi, a ich masa będzie miała ogromne znaczenie rynkowe. Więc zarówno Żywiec, Lech jak i inne koncerny zaczęły wprowadzać piwa nowofalowe, w nowym stylu, z użyciem amerykańskich chmieli czy solidniej robione piwa w europejskim stylu.

To ile procent rynku piwnego w Polsce zajmują teraz browary rzemieślnicze?

10-15 procent. To dla mnie, również jako dla polityka, bardzo znamienne.

Właściwie czemu?

Bo oznacza, że w Polsce wreszcie stało się coś, o czym marzyli wszyscy politycy, przynajmniej liberalno-lewi-

cowi: powstała klasa średnia. Jak ludzie dokonują indywidualnego wyboru - nie kupują tego, co się kupuje, co się widzi w telewizji albo tego, co najtańsze - tylko chcą mieć piwo inne, świeże, ze swojego regionu czy nawet sami robią je w domu (bo rozwinęło się też piwowarstwo domowe), to znaczy, że mamy klasę średnią. To samo stało się z chlebem, z serem. I to samo dzieje się teraz z mocnymi alkoholami - stąd właśnie teraz w Tenczynku uruchomiliśmy produkcję okowity, tradycyjnego destylatu. Okowita zresztą była już produkowana w browarze w Tenczynku, w XIX wieku.

Ponoć ślady po produkcji znaleźliście przez przypadek, przy pracach remontowych.

Tak. Jakubiak niezbyt dobrze zrobił remont kanalizacji - przeciekała woda deszczowa do systemu, więc płaciliśmy niepotrzebnie wysokie rachunki. Robiąc nową instalację deszczową, natrafiliśmy na okowitę tenczyńską. To mnie zainspirowało, żeby poszukać, czym historycznie te okowity były.

A czym były?

Jak piwowarowi coś tam nie wyszło, albo po prostu kończył się sezon i piwo się nie sprzedawało, to przerabiano to piwo, czasem całkiem dobre, na coś, co dzisiaj - zgodnie z prawem europejskim i polskim - nazywa się okowitą. Trunek destyluje się za pomocą urządzenia zwanego alembikiem - alembiki były za drogie i praktycznie zniknęły, poza destylarniami whisky w Anglii i w Szkocji. Alembiki, jeśli zapełnimy je piwem lub samym słodem, w efekcie destylacji mogą dać bardzo unikatowy alkohol. Po pierwsze pije się go na ciepło - a nie na zimno, jak wódkę. A po drugie trunek ma bardzo intensywne aromaty surowców, z których został zrobiony. Jeśli mamy okowitę z jęczmienia, to pachnie jęczmieniem, jeśli z gruszek - gruszką. To jest mniej wydajne, droższe, w związku z tym te produkty są drogie, ale bardzo jakościowe. I za tę jakość teraz coraz więcej Polaków jest w stanie zapłacić - bo po latach picia właśnie żółdkowej gorzkiej deluxe, krupnika czystego czy czy-



I TWOJA FIRMA MOŻE WESPRZEĆ AKCJĘ

reklama.gdansk@polskapress.pl

☎ 502 499 017

stej zębów, mają oni problem, żeby stwierdzić, czym te wódki się od siebie różnią.

Jest wódka ciepła i jest wódka zimna.

No właśnie, to była główna różnica. A teraz ludzie chcą czegoś innego. Więc w zeszłym roku, jako browar w Tenczynku, utworzyliśmy taką spółkę-córkę „Tenczyńska Okowita”. Uruchomiliśmy zbiórkę crowdfundingową, w której zbieraliśmy pieniądze na uruchomienie instalacji do produkcji okowity według XIX-wiecznych pieniędzy. A teraz startujemy z produkcją.

No właśnie. To nie była jedyna zbiórka crowdfundingowa w tenczyńskim browarze. Pan uruchamia zbiórki publiczne, zbierając na przykład dwa miliony. To duże kwoty, ale dla pana - jako potężnego biznesmena - nie poza zasięgiem. Po co panu ludzie, którzy wpłacą po kilkaset złotych?

My w tym momencie przez tę zbiórkę mamy 5,5 tysiąca inwestorów. Po co mi 5,5 tysiąca wspólników?

No właśnie, po co?

Bo jak są wspólnikami, to, po pierwsze, konsumują. My sprzedajemy alkohol bezpo-

średnio do nich, z pominięciem hurtowni. Co miesiąc sami inwestorzy robią zakupy za kilkadziesiąt, nawet sto tysięcy złotych. Po drugie, skoro są wspólnikami (i również zależy im na dochodach spółki): to sami te alkohole promują. To jest armia pięciu i pół tysiąca osób, które co jakiś czas napiszą o browarze Tenczynek, wrzucą jakieś zdjęcie. Potężna, darmowa reklama. Pani pyta, po co mi ci ludzie. To proste: żeby mieć lojalnych konsumentów, żeby mieć tani kapitał - nie płacić od tego odsetek, kiedyś podzielić się zyskami. A po trzecie, żeby mieć zaplecze marketingowo-sprzedażowe, które będzie promowało ten rodzaj produktu.

Pan powiedział: cieszy mnie jako polityka, że wreszcie mamy klasę średnią. Nie powiedział pan: byle dla pana - jako polityka. A zapowiadał pan, że odchodzi z polityki na zawsze.

Do codziennej polityki nie wrócę, ale pewien rodzaj analizy i uwagi na zjawiska i czytanie ich przez kontekst polityczny - zostanie mi do końca życia. W tym sensie wciąż jestem i będę politykiem. Widzę aspekt gospodarczy, polityczno-kulturowy, ale też ten polityczny. Już z tego człowiek nie wyrośnie.

Komu pan dzisiaj kibicuje?

Mimo wszystko Rafałowi Trzaskowskiemu - bo ma dzisiaj największy potencjał odebrania władzy rządowi. Uważam, że ta szansa jest jeszcze przed nim, mimo że mu się nie udało podczas wyborów prezydenckich. Bliska jest mi oczywiście lewica; parzę, co robi Robert Biedroń, Baśka Nowacka i inni. Szczególnie im kibicuję, ale lewica jakoś wciąż nie potrafi znaleźć sposobu na szerszą formułę. Dlatego liberalne centrum z twarzą Rafała Trzaskowskiego również jest mi bliskie. Nie mam jednak takiego wąskiego myślenia: tylko ta partia, tylko ta siła polityczna. Nie, ja po prostu jako obywatel chciałbym bardziej otwartych rządów: pro-europejskich, szanujących ludzi innych orientacji religijnych, seksualnych, o innym statusie społecznym czy poglądach. A ta władza, która jest dzisiaj, tego szacunku nie daje. Spójrzmy na nienawiść, która została spuszczone przez Kaczyńskiego i Episkopat przeciwko ludziom LGBT+. Pomijam skalę hipokryzji, bo przecież wśród kościelnych hierarchów jest wysoki poziom homoseksualizmu; to zakłamanie środowisko, podobnie jak kierownictwo PiS-u. Mimo to uruchomił lawinę nienawiści; bo to

daje bieżące korzyści, pozwala na sprytnie zarządzanie lekkim dużym społeczeństwem. Ale raz uwolniony mechanizm szczucia na mniejszości, prędzej czy później obróci się przeciwko tym, którzy to uruchomili - bo to oni znajdują się w mniejszości. Kościół znajdzie się w mniejszości, i PiS znajdzie się w mniejszości. To gra na krótką metę. Rujnująca i obrzydliwa. I jeszcze prowadzona w czasie, kiedy mamy pandemię, Polacy tracą pracę, dochody, są wystraszeni i niepewni przyszłości.

Pandemia uderzyła również w rynek browarniczy?

Oczywiście. W najgorszej sytuacji są te spośród małych browarów - na szczęście nie my - które sprzedawały większość swojej produkcji do pubów. Bardzo małe browary rzemieślnicze nawet 80 proc. piw sprzedawały w lokalach, więc wiele z nich nie było w stanie przetrwać lockdownu. Po drugie - to już dotknęło nas - ciężko było wprowadzić na rynek nowe produkty. My mieliśmy je gotowe, ale jeśli konsumenci nie mogli przez kilka miesięcy wejść do sklepów, nie mogli piw spokojnie pooglądać, poczytać etykiety, tylko stali za szybą plexi albo kupowali na szybko, to prosili o to, co

mieli w głowie, co kojarzą najlepiej - o Żywca, o Lecha, o Tyskie, Harnasia czy Reddosa. Poza tym przedstawiciele browarów nie mogli spotkać się z handlowcami reprezentującymi sklepy, te rozmowy odbywały się online lub telefonicznie - w Biedronce i Żabce tak jest do tej pory. To nie są sprzyjające warunki, by rozmawiać o nowych produktach. Kontynuowanie relacji handlowej zdalnie jest jak najbardziej możliwe, ale budować ją od podstaw jest trudniej. Ale nie ma co narzekać, jakoś przetrwaliśmy i z optymizmem patrzę na przyszły rok. Co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Trudne sytuacje są rozwijające?

Tak, bo kryzys to nie jest jakaś dziura - kryzys to szansa na transformację. Mamy szansę, naprawdę w to wierzę, przerodzić się w nowe społeczeństwo. Już widać, że pandemia taką siłą jest. Wniosła wiele bólu i problemów, ale też i dobrych zmian. Proszę spojrzeć, ile się zmieniło. Jak wzrosła na przykład sprzedaż w internecie. Wcześniej takie przyspieszenie w tak krótkim czasie było nie do pomyślenia. Ile się zmieniło w organizacji pracy. Okazało się, że nie wszyscy

muszą siedzieć w biurach albo jeździć na dalekie delegacje, żeby odbyć jedną godzinną rozmowę z kontrahentem. To wszystko da się robić zdalnie i dobrze, że to odkryliśmy. Kolejna rzecz: wyższy poziom sanitarny. Czasem 20 lat uczyło się ludzi, żeby myli ręce na przykład po zatankowaniu na stacji paliw. A teraz wszyscy to rozumieją. I to są rzeczy, które, mam wrażenie, zostaną z nami. I będą to zmiany na lepsze. ©

CV

JANUSZ PALIKOT

Urodził się w 1964 roku w Biłgoraju. Polityk (był?), przedsiębiorca, filozof. Pod koniec lat 80. był pracownikiem naukowym Instytutu Filozofii PAN. Potem zajął się biznesem: produkował palety, później winą musującą, w końcu stanął na czele lubelskiego Polmosu, produkującego żółtkową gorzką. W 2005 wstąpił do PO, został posłem. Później założył własną partię - Ruch Palikota (potem: Twój Ruch). W wyborach w 2011 r. kierowana przez niego partia zajęła trzecie miejsce. W 2017 zadeklarował odejście z polityki. W 2018 roku kupił browar w Tenczynku.

PARTNEREM CYKLU SĄ WOJSKA OBRONY TERYTORIALNEJ

039917825

Przysięga wojskowa w dniu rocznicy ślubu

Przysięgę wojskową złożyłam w dniu rocznicy ślubu. To był 30 września. 12 lat wcześniej tego dnia wyszłam za mąż i po latach właśnie tego dnia złożyłam przysięgę wojskową - mówi starsza szeregowca Joanna Kamińska z 7 Pomorskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Dołączyła pani do Wojsk Obrony Terytorialnej 2 lata temu. Skąd taka decyzja na takim etapie życia - mając poukładane życie, pracę, rodzinę?

Zawsze marzyłam o wojsku. Ta isierka we mnie była i gdy przyszedł czas dojrzałości trzeba było zrealizować marzenia. Chciałam, jestem tu, spełniam się i zakochałam się w tym. Zostawiłam moją pracę zawodową. Jestem bardzo szczęśliwa, że dokonałam takiego wyboru. Wcześniej ważne były dla mnie założenia rodziny, praca. Teraz można dzielić to z służbą ojczyźnie.

Jak rodzina zareagowała na tę decyzję?

Na początku wiedzieli o tym tylko mąż i córka, reszta rodziny nie wiedziała. Godzę to z życiem rodzinnym. Mie-



Joanna Kamińska, 7 Pomorska Brygada Obrony Terytorialnej

siąc przed przysięgą, gdy już wiedziałam, że się zakwalifikowałam, powiedziałam im na spotkaniu rodzinnym. Zaprosiłam całą rodzinę na przysięgę. Wszyscy byli zadowoleni i dumni ze mnie. Mam trzech młodszych braci i żaden z nich nie był w wojsku. Teraz w rodzinie mówię, że to ja poszłam do wojska, a oni nie (śmiech). Mam już odpowiedni wiek, jestem osobą dojrzałą, mam pewne do-

świadczenie życiowe i zawodowe. Znajomi również są na prawdę dumni. Bardzo mi kibicują.

Jak wyglądał start? Co było najtrudniejsze?

Nie było nic trudnego. Chęć przejścia do służby nie powodowała we mnie obaw. Byłam nastawiona na to, że spróbuję i się udało. Pierwsza misja to szkolenie podstawowe, które bardzo dobrze

wspominam. Miło wspominałam ludzi, których tam spotkałam, moje koleżanki, mój pluton. To zupełnie coś innego niż to co robiłam w pracy zawodowej. Na szkolenie podstawowe składały się m.in. zajęcia taktyczne, nauka strzelania. Później było reprezentowanie brygady w kompanii honorowej czy w zawodach sportowych. Zawsze z miłą chęcią biorę udział w takich przedsięwzięciach. Nie jestem przesadna, ale, gdy poszłam na szkolenie szesnastodniowe, to skończyło mi się, że mieszkam przy ulicy Wojska Polskiego, a przed ślubem miałam nazwisko „Marszałek”. Może to jakieś znaki, nie wiem czy w to wierzyć czy nie wierzyć. Co najlepsze w tym wszystkim: przysięgę wojskową złożyłam w dniu rocznicy ślubu. To był 30 września. 12 lat wcześniej tego dnia wyszłam za mąż i po latach właśnie tego dnia złożyłam przysięgę wojskową. To był czysty przypadek. Choć może tak miało być? Gdy mama przyjechała na przysięgę, to wysiadła z samochodu i powiedziała „Nie byłam u moich synów na przysiędze, ale przyjecha-

łam do córki!” (śmiech). Rodzina i mąż przygotowali dla mnie niespodziankę, bo w trakcie szkolenia miałam też 40. urodziny. Mąż też się bardzo cieszył. Widział, że spełnia się moje marzenie i to jeszcze tego dnia. Przeżywał to razem ze mną.

Jak realizuje się pani służąc lokalnej społeczności?

Wykonuję różne zadania gdy tylko mogę, również prywatnie, od strony typowo sąsiedzkiej. Gdy rozpoczęła się epidemia koronawirusa wspierałam nasz batalion. To działania administracyjne. Zajmuję się rozliczaniem żołnierzy. Składają do nas dokumenty dotyczące finansów oraz ich zadań. Ja je weryfikuję. Sama jestem ozdrowieńcem. Przeszłam Covid-19 i planuję oddać osocze dla innych chorych. Chorowałam w państwodzielniku. Przeszłam chorobę dość łagodnie, w moim przypadku był tylko brak wachu i chwilowe osłabienie. Przez tydzień nic nie czułam. Byłam w izolacji. Wiem z mojego bliskiego otoczenia, że ludzie różnie to przechodzą, nie mogą potem być aktywni, biegać, ja na szczęście wróciłam

do sportu. Koronawirus jest naprawdę.

Co pani daje służba w Wojskach Obrony Terytorialnej?

Poczucie spełnienia, mogę pomagać innym. Planuję przejść do służby zawodowej, jestem w kolejnym etapie. Podjęłam się kursu podoficerskiego. Będę mogła pracować w wojsku pełnoetatowo i zająć się służbą zawodową po weryfikacji. Biorę udział w promocji naszej brygady, naszego batalionu. Zachęcam różnych ludzi do przejścia. Jestem spełniona. Uważam, że to moja najlepsza decyzja życiowa. Może trochę późno, ale lepiej późno niż wcale. Uczestniczyłam w różnych szkoleniach, teraz sama szkolę kolejne osoby, które wcielają się do wojska. Jako pomoc przełożonym lub podczas wcielania, gdy nowi żołnierze przychodzą, zapoznają się z wojskiem i zaczynają swoją przygodę, czy też w ramach kompanii honorowych. Za każdym razem sprawia mi to wielką radość. Z dumą noszę mundur i jestem przeszczęśliwa, że mogę reprezentować moją brygadę i moją formację.

Komendancie, krzyczysz pan w niebo, krzycz pan na tych, co na dole

Grażyna Antoniewicz
g.antoniewicz@prasa.gda.pl



Wspomnienie

Zmarł Aleksander Skowroński. Szóstego grudnia obchodziłby 85. urodziny. Był aktorem, którego nazwisko jest nierozdzielnie związane z gdańskim Teatrem Miniaturą, był jego opoką.

Aleksander Skowroński kariery aktorską zaczynał jako Tańczący Chłopiec w sztuce „Kolorowe piosenki”. Grał u najlepszych reżyserów i we wszystkich ważnych spektaklach Teatru Miniatura w Gdańsku. Ponieważ miał niespokojną naturę, któregoś dnia razem z Tadeuszem Słobodziankiem, Piotrem Tomaszukiem odszedł z Gdańska do teatru „Wierszalin”. Zamieszkał w Supraślu.

Mając 73 lata został kaskaderem. Udowodnił, że na takie wyczyny nigdy nie jest za późno. Za skok z wieży został honorowym członkiem kaskaderów polskich.

- Skoczyłem na poduszkę napompowaną powietrzem. Dubler czekał z boku, na wypadek gdybym się zawahał - opowiadał aktor.

Zagrał m.in. ojca komendanta policji w filmie „U Pana Boga w ogródku”. Widzowie chętnie oglądali tryptyk filmowy Jacka Bromskiego. Chwałą wszystkie części („U Pana Boga za piecem”, „U Pana Boga w ogródku”, „U Pana Boga za miedzą”), jednak najwięcej listów przychodziło od wielbicieli drugiej części.

- Nie wiem, dlaczego - opowiadał przed laty Aleksander Skowroński. - Podobno ta część tryptyku jest najłżejsza i najdowcipniejsza, choć ja nie odnoszę takiego wrażenia.

Czasem przychodziły listy także do ojca komendanta, ogniomistrza Ignacego.

- Kiedyś na Facebooku ktoś napisał do mnie „Panie Komendancie, krzyczysz pan, krzyczysz w niebo, krzyczysz pan na tych na dole” - opowiadał aktor.

Aleksander Skowroński zdradził, że aktorzy grający role proboszcza i komendanta z ostatniej części tryptyku - „U Pana Boga za miedzą” - tak weszli w swoje role, że Krzysztof Dzierna (ksiądz proboszcz) wita się z ludźmi: „Szczęść Boże”,

a Andrzejowi Bei Zaborskiemu (komendant) salutuje policja. - Mnie, na szczęście, nie każą gasić pożarów, może ze względu na wiek - żartował.

Ogniomistrza Ignacego lubili telewizjowicze i kobiety. Tylko jemu filmowa bufetowa Halinka pokazywała biust.

- Grałem zawsze... podnieconego erotomana. Gdy spotykam bufetową Halinkę, mówię: „Ach, żebym był młodszy, to bym z tobą jeszcze niejednego obertasa wyrzwał”. Podobno podczas sceny, kiedy pełen ochoty wdrapuję się na bufet i wychylam, aby zobaczyć jej biust, ekipa za kamerą turlała się ze śmiechu - mówił.

Filmy, w których Aleksander Skowroński wystąpił, to m.in. „Czarodziej z Harlemu” (zagrał tam Wodzireja). Pojawił się też jako Grom w „Starej baśni” u Jerzego Hoffmana.

Królik w klatce po kanarku

- W „Bożej podszewce” zagrałem filozofa uciekiniera z Wilna, trochę nawiedzonego, kochającego zwierzęta, hodującego królika w klatce po kanarku. Izabella Cywińska reżyserując tę scenę bardzo się śmiała - wspominał. - Lubiłem tę postać, choć była to tylko rola epizodyczna.

Zagrał także u Agnieszki Holland w filmie „Janosik. Prawdziwa historia”.

Kłoszard i bimber

- Rola starego bacy w „Janosiku” to była nie tylko ciekawa praca, piękne plenery, ale i postać jest hecna - opowiadał.

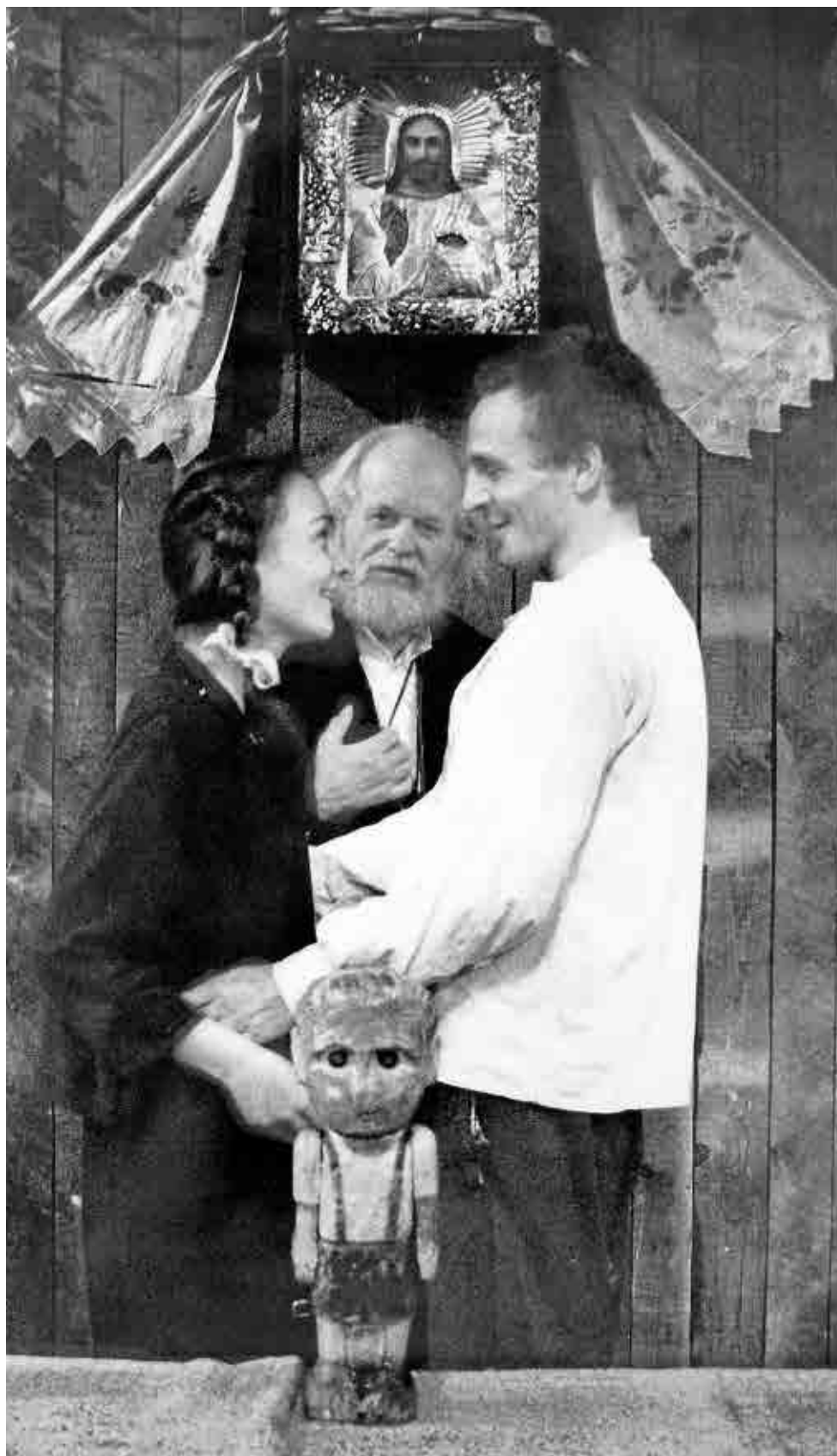
Natomiast w serialu „Plebania” był kłoszardem, który mieszka w leśnym szałasie poza miastem, pędzi bimber, zbiera książki i handluje nimi. U Jerzego Łukaszczyka w filmie „Słoneczna włócznia” pojawił się jako kolorowy i bajkowy patron miasta.

- Byłem jakby trochę wyjęty z baśni - wspominał. I przyznawał, że jako aktor lalkarz chętnie zagrałby jakiś epizod filmowy z marionetką.

Kwitły kasztany w maju

Aleksander Skowroński był gdańszczaninem od 1945 roku, gdy rodzina przyjechała na Wybrzeże.

- Najpierw mieszkaliśmy w Sopocie naprzeciwko posterunku milicji. Było w miarę bezpiecznie. Potem ojciec znalazł mieszkanie we Wrzeszczu na Jaśkowej Dolinie, najpiękniejszej ulicy w Trójmieście, wtedy z gazowymi latarniami i kasztanami, które tak pięknie kwitną w maju. Gdańsk był wówczas



W spektaklu „Turlajgrosek”, Teatr Miniatura 1990 rok

straszliwie zniszczony. Do podstawówki przy ulicy Dworcowej chodziłem po gruzach, w mieście zostało jeszcze wielu Niemców - wspominał.

Ponieważ po mamie odziedziczył zdolności artystyczne, uczył się tańca w słynnej szkole Janiny Jarzynówny-Sobczak i grał na trąbce w młodzieżowej

orkiestrze. Przyszłość zapowiadała się kolorowa. Tak to wspomina: - Chciałem zostać dziennikarzem i rozpocząłem studia na Uniwersytecie Warszawskim. Niestety, ojciec (podczas tego samego rejsu, co kapitan Batorego Jan Ćwikliński) został na Zachodzie. Był rok 1953. Na tychmiast wyrzuceno mnie

z uczelni. Żadna inna nie chciała mnie przyjąć, tylko Szkoła Aktorska w Krakowie zgodziła się, abym rozpoczął naukę na wydziale lalkarskim. W 1956 roku nadeszła odwilż. Do kraju wrócił ojciec, a świeżo upieczonemu aktorowi pracę w gdańskim Teatrze Rapso-

dycznym zaproponował dyrek-

Frytki na srebrnej tacy

tor Waldemar Lachnitt, ale wkrótce do teatru lalkowego (późniejszej Miniatury) ściągnął go słynny scenograf i dyrektor Teatru Lalek Ali Bunsch. Z Miniaturą Aleksander Skowroński zwiedził całą Europę, grając wiele ciekawych ról.

- Kiedy po maturze przyszedłem do Miniatury jako adept, Żanu, tak go nazywali w teatrze, już tam był na dobre - wspomina aktor Ryszard Jaśniewicz. - Występowaliśmy w tym czasie razem w wielu przedstawieniach, w „Pastorałce” przypadła nam ta sama rola, Melchiora graliśmy na zmianę. Szybko żyliśmy się, polubiliśmy. Także dlatego, że był kumplem mojego kuzyna. Obaj rządili po trójmiejskich knajpach. Kochał życie i potrafił nim się cieszyć. Dowodem na to jest choćby opowieść sprzed lat, gdy odwiedził mnie w Krakowie, gdzie - już po przygodzie w Miniaturze - studiowałem w szkole teatralnej. Akademik na Warszawskiej, w jednym pokoju mieszkało nas trzech. Niedziela. Wczesnie rano, może ósma. Nagle, pukanie. Drzwi otwierają się, a tam...Żanu! Smoking, muszka, lakierki. Woła rozba-wiony: - Zapraszam do Hotelu Francuskiego! Nie pytaliśmy po co, dlaczego tak wczesnie, czy ma może urodziny? Błyskawicznie ubraliśmy się i wyruszyliśmy w miasto: wyelegantowany Żanu i my, studenci trochę wymięci. W restauracji u Francuza jakby na nas czekał. Żanu rozsiadł się i jak panisko rzucił do kelnera: „Pół litra żytniej i frytki! Na srebrnej tacy”! To wszystko. Dalej nie pamiętam... Nie wiem, może za dużo tej żytniej? Zgubiłem ciąg dalszy. Czy myśmy u Francuza zostali do nocy, czy do południa, czy do następnej wiosny? A może do sylwestra? Wtedy tam, czas się zatrzymał. Po wielu latach, chyba po trzydziestu, znów jestem w Krakowie u Francuza. Nie ma studentów ani Żanu. Nie podają już tam frytek na srebrnej tacy. Ani tym bardziej żytniej. Dzwonię do Żanego i pytam, skąd wtedy, w tym smokingu w Krakowie właściwie się wziął? A on zadziwiony: „No jak to! Przyjechałem na frytki do Francuza”! Ja swoje: - Przyjechałeś z Gdańska do Krakowa na frytki, ot tak sobie? On: „Ubrałem smoking,

wypucowałem lakierki, wsiadłem w pociąg, rano byłem na miejscu”. Wtedy mnie to nie zdziwiło, nic a nic. Nawet to, że jechał pociągiem przez całą Polskę, w smokingu i lakierkach, bez bagażu, jakby wracał z balu karnawałowego. Żanu zawsze chodził w lakierkach. Gdy jakiś czas temu opublikowałem to wspomnienie na blogu, Żanu wysłał komentarz: „To były chłopaki z lalkarską fantazją - dziś takich już nie ma...”.

Do bólu perfekcyjny

- Poznałem go w 1979 roku, gdy grał w sztuce „Iwan carski syn, szare wilczyisko”, którą reżyserowałem - opowiada Konrad Szachnowski, reżyser i wieloletni dyrektor Teatru Miniatura. - Był to spektakl dosyć trudny dla aktorów, ponieważ animowali ogromne pacynki. Potem spotkaliśmy się, gdy reżyserowałem „Koziołka Matołka”. Żanu grał główną rolę. Miałem z nim pewien kłopot, był do bólu perfekcyjny. Bywał częstym gościem w pracowni, gdzie ulepszał lalki, którymi grał. Swoją sztukę animacyjną próbował wspomóc jakimiś mechanizmami, różne rzeczy wymyślał, czasami świetne, czasami nie. Niestety, próbował tymi mechanizmami iść na skróty, ale skutecznie wybiłem mu to z głowy. Aleksander dosyć często u mnie grywał

i miałem z nim wspaniały kontakt. Kiedy odszedł do Teatru Wierszalin, nasze drogi na jakiś czas się rozeszły, ale kiedy przeszedł na emeryturę, poprosiłem, żeby grywał w Miniaturze na umowę-zlecenie. Razem ze świętej pamięci Frankiem Grzegorzewskim, Jurkiem Nawojskim i Leszkiem Kowalskim stanowili silną grupę starszych aktorów. Dostali własną garderobę, gdzie kwitło życie towarzyskie. Panowie stano-

Drzwi otwierają się, a tam... Żanu! Smoking, muszka, lakierki. Woła rozbawiony: - Zapraszam do Hotelu Francuskiego! Na frytki!

wili zgraną teatralną rodzinę. Nikt nie miał tam wstępu. Młodzież tam nie zaglądała, tylko jeden Jacek Gierczak miał prawo wstępu i ja, jako dyrektor. Aleksander Skowroński był niewątpliwie aktorem, którego nazwisko jest nierozdzielnie związane z Teatrem Miniatura, był jego opoką.

Mistrz i adeptka

- Zналиśmy się bardzo długo - mówi aktorka Jolanta Darewicz. - Podziwiałam go

za to, że w momencie, kiedy przeszedł na emeryturę, swoje życie zawodowe jeszcze bardziej podkreślił, wyruszając w drogę, jak prawdziwy aktor w dawnych czasach, z Piotrem Tomaszukiem przemierzał Polskę i świat. To niesamowite, jak ważny był dla niego teatr i właściwie, do końca jego dni najważniejszy w życiu, poza synem. W latach 80. pracowałam jako adeptka w Teatrze Miniatura, wielkim zaszczytem było wstąpienie do Związku Artystów Scen Polskich. Miałam ledwie 19 lat. Aleksander w tamtych czasach był przewodniczącym gdańskiego ZASP-u. Poręczył za mnie i dostałam legitymację. Wiele było spektakli, w których wspólnie zagraлиśmy. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na scenie w 1978 roku w „Diabelskich skrzypcach”, w reżyserii Joanny Piekarskiej. W tamtych czasach istniała taka przepaść między młodym a starszym pokoleniem, że trudno było mówić o jakiejś przyjaźni, to była znajomość na zasadzie mistrz i uczeń. Po latach, gdy reżyserował spektakl „Brzydkie kaczątko”, grałam w nim jedną z głównych ról. Po premierze zostałam obdarowana przez niego przepięknym naszyjnikiem. Bardzo się lubiliśmy, ponieważ był miłym kolegą, opiekuńczym i zawsze można było liczyć na jego dobre, dotyczące

sceny rady. Jako aktor lalkarz był mistrzem. Patrząc na to, jak animował lalkę, niewielu mu dorównywało.

Jego cały świat

- Znałem się z Aleksandrem od dnia, kiedy tylko przyszedłem do Miniatury - mówi aktor Andrzej Żak. - Wtedy zaczęliśmy wspólną pracę w sztuce „Turlajgroszek”. Ja zdążyłem z „Turlajgroszkiem” pojechać dwa razy za granicę, ale Olek z tym spektaklem objechał cały świat. Wydaje mi się, że była to dla niego rola przełomowa. Wtedy odnalazł w sobie zupełnie innego aktora, powściągliwego, ale jednocześnie wyrazistego. Był oszczędny w geście, swoim przepięknym mocnym basem, który tak cudownie wykorzystywał - na warszawskich spotkaniach teatralnych zachwycił Bardiniego. Potem spotkaliśmy się w Wierszalinie, gdy robiłem zastępstwo w „Kłatwie”. Byliśmy z tym spektaklem na festiwalu w Edynburgu. Był aktorem charakterystycznym, z wyjątkowego pokolenia, pokolenia, którego już nie ma. Kilka lat temu spotkaliśmy się ponownie, gdy Mietek Abramowicz robił próbę czytania „Dybuka”, z jednej strony siedział Olek Skowroński, z drugiej Ryszard Ronczewski, a między nimi ja i inni koledzy. To były cu-



Jako aktor lalkarz był mistrzem

downe, niezapomniane chwile, które zostaną w pamięci, a wiadomo, że ludzie żyją tak długo, jak długo się o nich pamięta. Myślę, że o Aleksandrze będziemy długo pamiętać, dlatego że zostawił wiele radości w sercach najmłodszych widzów, ale i w sercach dorosłych, do których też potrafił dotrzeć.

Aleksander Skowroński urodził się w Białymstoku. Wy-

stępował m.in. w teatrach: Miniatura w Gdańsku, Teatrze Wierszalin w Supraślu, Dramatycznym im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku oraz Teatrze Wybrzeże w Gdańsku.

W 2012 roku otrzymał nagrodę Henryka - to lalkowy Oscar. Ma go niewielu aktorów. Jest jednym z bohaterów książki „Gdańsk śladami znanych ludzi” Grażyny Antoniewicz i Gabrieli Pewińskiej.

©

REKLAMA

049920674

Nowa seria Fendt 900

FENDT
fendt.com | Fendt is a worldwide brand of AGCO



AGROLMET

Oddział Gniewkowo
ul. Nowa 1
88-140 Gniewkowo
tel. 507 198 504

Oddział Stare Pole
ul. Marynarki Wojennej 21c
82-200 Stare Pole
tel. 519 849 668

Pewnego smutnego, listopadowego dnia

Tomasz Chudzyński
t.chudzynski@prasa.gda.pl



Historia

– Wizyta Heinricha Himmlera jest pewnym pomostem w dziejach obozu w Stutthofie. Ona zmieniła ten pierwotny, mały, peryferyjny obiekt na typowy niemiecki obóz koncentracyjny z czasów II wojny światowej, element polityki masowej zagłady. Wystarczyło kilkadziesiąt minut pewnego smutnego dnia – mówi dr Marcin Owsiniński, historyk Muzeum Stutthof, autor książki „Dwie godziny w listopadzie”, w której analizuje – dzięki nowej technologii – zachowane zdjęcia z tamtego wydarzenia oraz inne źródła z epoki.

Jest zestawienie kilku powszechnie znanych zdjęć dokumentujących działalność niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof – wizyta Heinricha Himmlera, jednego z najwyższych przywódców nazistowskich Niemiec, która miała miejsce 23 listopada 1941 roku.

Wyobrażając sobie Stutthof, najczęściej widzimy właśnie ten zestaw kilku ujęć z Himmlerem jako ich bohaterem. Tymczasem obóz istniał dalej prawie 4 kolejne lata i niewiele przypominał to, co na tych zdjęciach widać. Ale one zdefiniowały historię. Kiedy przyjrzeć się bliżej tym zdjęciom, widać nieznane dotąd ich szczegóły – zapewnia to współczesna technologia cyfrowa. W dodatku, gdy porówna się je ze źródłami, które dopiero teraz są dostępne, np. dziennikiem Himmlera czy innymi dotyczącymi III Rzeszy, można to wydarzenie obudować w kompleksowy, historyczny kontekst. Bardzo istotny dla więźniów Stutthofu, Pomorza.

To nie była standardowa wizyta? Po co Himmler przyjechał do obozu w Stutthofie?

Był wówczas poniekąd najważniejszą osobą III Rzeszy, po Adolfie Hitlerze. Analizując jego kalendarz, widać wielką częstotliwość jego spotkań z Hitlerem, częstotliwość jego wizyt na froncie, w czasie których oglądał poza swoimi jednostkami SS przede wszystkim egzekucje cywilów. Dla Niemiec walczących od czerwca 1941 r. ze Związkiem Sowieckim był to



23 listopada 1941 r. Heinrich Himmler wraz ze swoją świtą kroczy przed strażnikami w obozie koncentracyjnym Stutthof

czas wielkich zwycięstw, moment zbliżania się Niemców do Moskwy i masowych rozstrzeliwań Żydów na Wschodzie. On prosto z frontu udał się do Hitlera, potem na Pomorze, skąd wyruszył do Wilczego Szańca, ponownie zdać relację Hitlerowi. To był czas wykuwania się „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Szacuje się, że około grudnia 1941 roku powstała fizyczna decyzja o budowie zupełnie innej niż dotychczas metody mordowania Żydów: już nie rozstrzeliwań, a budowie komór gazowych i specjalnych obozów. Wtedy odbyły się pierwsze gazowania więźniów w obozie w Bełżcu, wówczas też gotowy był program konferencji w Wannsee. Stenogramu rozmów w Stutthofie nie ma, natomiast na podstawie kontekstu historycznego łatwo jest go wychwycić. Oni wówczas mogli euforycznie o „ostatecznym zwycięstwie” rozmawiać. Wiemy, że Himmler był w tamtym czasie na Pomorzu kilka dni, że Stutthof był raczej poboczną częścią jego planu spotkań, że bardzo ważna była kwestia rozgrywki z Albertem Forsterem, namiestnikiem Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Był to też bardzo ważny okres w jego życiu osobistym i rodzinnym.

Rozumiem, że precyzyjna analiza fotografii przyniosła nową wiedzę.

W samym obozie Himmlerowi towarzyszyło trzech wysokich rangą, ważnych generałów SS, z którymi ściśle współpracował. Oni są na tych zdjęciach, czego nikt nie próbował wcześniej badać. Analiza wskazuje, że wizyta Himmlera w Stutthofie trwała raptem dwie godziny, z czego godzinę spędzono w jadalni w budynku komendantury obozu. Wiemy, z jakich filiżanek pił kawę, jakim

Przeanalizowałem ponad dwadzieścia ujęć pokazujących, którędy Himmler i towarzysząca mu świta szli, ile minut to mogło zająć

samochodem przyjechał, jakie orderzy wisiąły na mundurze komendanta obozu Maxa Pauly'ego, kiedy zostały mu wręczone. Znamy obieg dokumentów, listów, wrażeń po tej wizycie. Dokumenty, które powstały po wizycie Himmlera, pokazują, że tych kilka rozmów wystarczyło, by Stutthof stał się tym, czym finalnie był w 1944, 1945 roku: wielkim kombinatem z dziesiątkami tysięcy więźniów i ofiar.

Ale przecież i wcześniej było to miejsce budzące grozę...

O istnieniu Stutthofu Himmler wiedział od jesieni 1939 roku. Kiedy do Stutthofu przyjeżdżał w 1941 roku, było tu kilka baraków, w których więziono około 600 ludzi (400 więziono w podoboju w Elblągu). To była polana w lesie, bardzo mała struktura. Decyzja Himmlera o rozbudowie obozu skutkowałą przeznaczeniem funduszy, planami i tym, jak funkcjonował w następnych latach. Wizyta Himmlera jest pewnym pomostem w dziejach obozu w Stutthofie. Ona zmieniła ten pierwotnie mały, peryferyjny obiekt na typowy niemiecki obóz koncentracyjny z czasów II wojny światowej, element polityki masowej zagłady. Wystarczyły dwie godziny. To jeden z wielu historycznych kontekstów wizyty Himmlera w Stutthofie.

Na najbardziej znanym zdjęciu widać Himmlera przemierzającego okolice baraków więziennych w towarzystwie oficerów SS. To miejsce nie wygląda na obóz, ciężkie więzienie. Wszystko wygląda na nowe, bardzo zadbane.

W towarzystwie Himmlera widzimy trzech generałów SS, o których wspominałem. Najsylniejszym z nich był Karl Wolff, prawa ręka Himmlera, szef jego sztabu, był także Otto Hoffmann, szef Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa, oraz Ulrich

Greifelt, kierujący Urzędem Komisarza Rzeszy do Spraw Umacniania Niemczyzny. Wszyscy (poza Wolffem, który wywinął się od wyroku śmierci) marnie skończyli niedługo po 1945 roku. Wówczas jednak byli bardzo ważni, towarzyszyli Himmlerowi, w swoich skórzanych płaszczach majestatycznie przeszli przez miejsce dotychczas im nieznane. Widać na zdjęciach także Richarda Hildebrandta, głównego szefa policji i SS od września 1939 r. na Pomorzu, który brał udział w rozstrzeliwaniach Polaków i Żydów. On na tych zdjęciach jest „poszarzały”: w styczniu 1942 r. musiał odbyć roczne leczenie psychiatryczne na skutek wyczerpania dotychczasową działalnością. Co ciekawe, wszyscy oni mieli w 1941 roku około 40 lat: Himmler miał 41 lat, Max Pauly, komendant Stutthofu, który przyjmował go z honorami, wyorderowany, miał 34 lata, a znany był Himmlerowi przynajmniej od dekady. Decyzje zatem zapadały w gronie młodych ludzi, którzy byli swoją władzą upojeni. Pamiętajmy też, że z perspektywy Himmlera były to tylko dwie godziny, wizyta na kawie u jego esesmanów. Jednak dla załogi Stutthofu to było być albo nie być. Gdyby Himmlerowi w Stutthofie się nie spodobało, gdyby stwierdził, że należy obóz zamknąć, zwinąć tę strukturę, to utrzymywanie w tym miejscu kil-

kuset SS-manów, dotychczas służących w obozie, nie miałyby sensu.

To oznaczałoby koniec kariery załogi Stutthofu, straciłoby pozycję, funkcję?

Mogliby przede wszystkim trafić na front do walczących oddziałów Waffen SS, do których zresztą byli już wcześniej, kilka tygodni przed przyjazdem Himmlera, wcieleni w ramach przygotowań do reorganizacji całej tej struktury. To jednak przesądzone nie było, a w momencie gdy Himmler stwierdził, że Stutthof ma z punktu widzenia planów III Rzeszy potencjał, widmo wysłania do walki z Armią Czerwoną oddaliło się. Na zdjęciach rzeczywiście widać swego rodzaju „sprężystość” załogi Stutthofu, przejęcie, a z drugiej strony to, o co pan pytał – obóz wymalowany, jakby był oddany do użytku dzień wcześniej. Tuż przed wizytą Himmlera zakończono urządzenie pomieszczeń w komendanturze, które mu potem pokazało. W tym kontekście jest to opowieść o codzienności sprawców, banalności zła. W literaturze od dekad mamy pojęcie „banalności zła”, opisane przez Hannę Arendt po procesie Eichmanna w Jeruzolimie. Ta krótka wizyta miała ogromne znaczenie. Kosztowała przede wszystkim wiele tysięcy istnień ludzkich, z perspektywy czasu tego, co się później zaczęło w obozie, przemianowanym już oficjalnie na Konzentrationslager Stutthof i objętego „opieką” aparatu państwowego III Rzeszy.

Czy ówczesni więźniowie zauważyli Himmlera prowadzącego inspekcję? Fotografie pokazują opustoszały obóz.

Przeanalizowałem ponad dwadzieścia ujęć pokazujących, którędy Himmler i towarzysząca mu świta szli, ile minut to mogło zająć. Skonfrontowałem to z zeznaniami świadków, więźniów, oraz topografią. Wynika z tego, że w części więziennych, barakach, warsztatach przebywali chwilę. Najwięcej czasu spędzili w królikarni, komendanturze czy analizując obozowy system kanalizacji. Wówczas w większości więźniów w obozie nie było: wyprowadzono ich do pracy w lesie, widać ich na niektórych fotografiach, dzięki technologii w wielkim przybliżeniu (na oryginałach byli niedostrzegalni). Niewielka grupa pracująca w warsztatach widziała jednak Himmlera i zapamiętała go.

Poczęstunek także gotowali kucharze więźniowie, choć kelnerami byli już SS-mani w białych surdutach.

W jaki sposób zdjęcia wizyty przetrwały wojnę?

Wykonał je znany wówczas gdański fotograf Hans Sönnke. Ten sam, który fotografował we wrześniu 1939 r. Westerplatte po walkach, a także pierwsze dni obozu w Stutthofie, kiedy trwała jego budowa. Widać, że 23 listopada 1941 r. czekał w Stutthofie na Himmlera, sфотографował jego przyjazd. Łącznie było około 30 zdjęć, w książce zamieściliśmy ponad 20 oraz nieznaną dotychczas mapę sporządzoną przez więźnia, który w tamtym czasie był w obozie, odtwarzającą infrastrukturę i topografię terenu. Później załoga Stutthofu oprawiła zdjęcia Sönnkego. Dotarłem do relacji więźnia, który pracował na osobiste zlecenie komendanta przy albumie dokumentującym wizytę Himmlera, dla komendantury obozu, m.in. kaligrafował opis. Album w czasie ewakuacji został razem z archiwum obozowym wywieziony i ukryty. Przetrwał, został odnaleziony po wojnie razem z obozową dokumentacją. Musiał być zatem do końca bardzo ważny emocjonalnie dla SS-manów ze Stutthofu. Po wojnie był dowodem na ich procesach.

Jednym z kontekstów wizyty Himmlera na Pomorzu jest ten dotyczący konfliktu między szefem SS a Forsterem.

Forster z Himmlerem się nie lubili, ich konflikt jest



Himmler dyskutował przy kawie z oficerami SS w budynku komendatury KL Stutthof



Komendant obozu Max Pauly (po lewej) składa raport Himmlerowi

dość znany. Obaj nie przypadli sobie do gustu charakterologicznie, ale też mieli inny pogląd na sprawę tzw. germanizacji, volkslisty. Forster uważał, że każdy, kto urodził się na Pomorzu, był niegdyś poddanym cesarza lub byli nimi jego rodzice, w bardzo szybkim czasie da się zgermanizować, niezależnie od tego, czy ma polską świadomość, czy mieszaną polsko-niemiecką, czy jest Kaszubem. Grupę III volkslisty można było uzyskać stosunkowo łatwo. Himmlerowi, który był Komisarzem Rzeszy ds. Umacniania Niemczyzny, czyli szefem całej germanizacyjnej struktury, to się nie podobało. On wolał model Arthura Greisera zarządzającego Wielkopolską, gdzie trzeba było mieć mocne dowody na to, że się jest Niemcem. Greiser mówił, że niemiec-kość trzeba mieć w sobie i trzeba sobie na nią zasłużyć. O ile na Pomorzu Forster zgermanizował ponad milion ludzi, 50-60 proc. Pomorzan, to w Wielkopolsce Greiser za- ledwie kilkadziesiąt tysięcy. Forstera nie można było usunąć, bo uchodził za przyjaciela Hitlera, był silny jego wsparciem. W ramach prób pogodzenia się Himmler i Forster spotykali się u Führera III Rzeszy na różnego rodzaju pojednawczych „herbatkach”, w czasie których również się kłócili. Wizyta Himmlera na Pomorzu w listopadzie 1941 r. była swego rodzaju ukłonem wobec Forstera, próbą znalezienia kompromisu. Trzy dni w listopadzie 1941 roku na Pomorzu szef SS zapoznał się z działalnością na-

dzorowanych przez Forstera urzędów zajmujących się volkslistą, procedurami. Ostatecznie kompromisu nie zawarto, spór trwał dalej. Było to dość typowe dla działania maszyny władzy III Rzeszy: ostry konflikt działaczy, których rozstrząsał wódz.

Analizie zdjęć z wizyty Himmlera w Stutthofie chciał Pan poświęcić naukowy artykuł, a skończyło na książce „Dwie godziny w listopadzie”. To kwestia obszerności tego tematu czy konsekwencji dwugodzinnej wizyty Heinricha Himmlera w Stutthofie?

To było ciekawe zajęcie, spełniłem jedno ze swoich badawczych marzeń. Okazało się, że sprawa jest szersza niż tych kilka zdjęć, które dziś znamy. Pokazałem, kim byli ci ludzie i po co tu przyjechali, w jaki sposób sprawowano władzę, która miała konsekwencje dla losów, cierpienia kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Książka jest w edycji dwujęzycznej, angielsko-polskiej. Chciałbym, żeby weszła do dyskusji o „arendtowskiej” banalności zła, w kontekście tak małego miejsca, jakim był Stutthof. Kontekst Eichmanna, głównego technologa Holocaustu, jest znany, natomiast ja pokazuję zaangażowanie pomniejszych SS-manów, a także osobiste podejście Himmlera do zagłady. Oficjalnie „zreformowany” na „KL” na przełomie 1941 i 1942 roku obóz Stutthof przekształcał się w następnych latach, co ciągnęło za sobą dziesiątki tysięcy ofiar. Cały ten proces miał swój początek pewnego smutnego, listopadowego dnia. ©P

Materiał informacyjny Volkswagen Bank

Volkswagen Bank z ofertą dla klientów biznesowych

Zachowanie płynności finansowej to priorytet dla przedsiębiorców

Jeszcze niedawno wydawało się, że przedsiębiorcy najgorsze mają za sobą i mogą się skupić na odbieraniu strat po wiosennym lockdownie. Dziś znów muszą się mierzyć z nowymi obostrzeniami i walką o przetrwanie. A w niej kluczową kwestią jest zachowanie płynności finansowej w prowadzonej działalności gospodarczej. Pomocą w tym mogą być nowe propozycje Volkswagen Banku.

Z miesiąca na miesiąc wzrasta odsetek firm, którym grozi utrata płynności finansowej lub już ją utraciło. Wśród przyczyn zazwyczaj wymieniane

są opóźnienia w płatnościach ze strony kontrahentów oraz utrata klientów. Obecnie niemal 85 proc. polskich przedsiębiorców ma problem z niezapłaconymi fakturami. Najmocniej odczuwają to właściciele mniejszych firm.

– Zachowanie płynności finansowej jest sprawą bardzo istotną w prowadzeniu działalności gospodarczej i stanowi duże wyzwanie, zwłaszcza obecnie – tłumaczy Daria Pawęda, dyrektor Departamentu Rozwoju Biznesu i Obsługi Klienta w Volkswagen Bank. – Z tego względu zdecydowaliśmy się na wsparcie firmowych klientów i ułatwienie im

prowadzenia windykacji należności. Wierzymy, że ta propozycja spotka się z zainteresowaniem klientów. Nieustannie rozwijamy ofertę i niebawem będziemy mogli przedstawić nowe rozwiązania oraz dodatkowe usługi dla klientów biznesowych – dodaje Pawęda.

Volkswagen Bank, wspólnie z Vindicat i Visa przygotował specjalną ofertę dla posiadaczy Plus Konta Biznes z Kartą Visa. Chodzi o tańszy dostęp do abonamentów w ramach windykacji on-line, oferowanych przez Vindicat. Co ważne, oferta dotyczy usług z całego procesu obsługi niezapłaconej faktury.

Dzięki temu łatwemu rozwiązaniu, w kilku prostych krokach przedsiębiorcy mogą odzyskać swoje należności.

Promocja potrwa do końca stycznia 2021 r. Propozycja dla firm prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą, prowadzących Plus Konto Biznes z Kartą Visa Business w Volkswagen Bank i obejmuje możliwość przetestowania obsługi jednej faktury przez 30 dni za darmo oraz skorzystania ze zniżki do 35% w ramach oferty windykacji on-line Vindicat, dla zarejestrowanych użytkowników, bezterminowo przez cały okres współpracy.

Jak to działa? Klienci otrzymują dostęp do platformy ułatwiającej zarządzanie płatnościami na każdym etapie windykacji: dostępne są zarówno działania prewencyjne, jak i windykacyjne. Użytkownicy uzyskują dostęp do gotowych do wypełnienia wzorów pism i wniosków, niezbędnych podczas windykacji należności.

Usługa umożliwia także przeprowadzenie negocjacji on-line, dzięki którym zobowiązanie dłużnika zostanie rozłożone na raty. Ponadto klienci uzyskują dostęp do gotowych scenariuszy, umożliwiających przeprowadzenie szybkiej i sku-

tecznej windykacji należności. Mogą je prowadzić samodzielnie, korzystając ze wsparcia i doradztwa prawników lub w dowolnym momencie zlecić ją specjalistom w dziedzinie windykacji.

System zapewnia także m.in. dostęp do giełdy długów, dzięki czemu dane o dłużniku będą wysoko pozycjonowane w internecie, co automatycznie przekłada się na szybsze i skuteczniejsze odzyskiwanie należności. W systemie można także pobrać raport o wiarygodności kontrahenta oraz dopisać go do rejestru BIG InfoMonitor.



009958562

Gabriela Pewińska
g.pewinska@prasa.gda.pl

Rozmowa

O lockdownie nikt wtedy nie słyszał. Kto miał umrzeć, umierał, a życie pozostałych toczyło się dalej.

Zarazę przyjmowano raczej jako dopust boży. Nikt nawet nie próbował temu przeciwdziałać. Tak musiało być i tyle. Ratowano się muzyką - mówi Paweł Iwaszkiewicz, założyciel stołecznego zespołu Orkiestra Czasów Zarazy, który będzie gościem gdańskiego festiwalu Actus Humanus.

Kiedy 10 lat temu powstała Orkiestra Czasów Zarazy pewnie nikt z was nie przypuszczał, że będziecie obchodzić jubileusz w... czasie zarazy.

(Śmiech) Muszę przyznać, jednocześnie współczując wszystkim innym kolegom muzykom, że jesteśmy jedynym zespołem, który na epidemii coś zyskał. Nazwa, którą sobie przed laty wymyślił, dziś wszystkich bawi i zaskakuje, każdy jest przekonany, że została wymyślona ad hoc, na okoliczność koronawirusa.

A to nieprawda.

Odnosi się do zupełnie innej zarazy. Gramy bowiem muzykę polską pierwszych dwóch dekad XVIII wieku. A były to czasy, kiedy w Rzeczypospolitej hulały armie walczące w Wielkiej Wojnie Północnej. Za wojną szła dżuma. W okresie tym ludność Rzeczypospolitej zmniejszyła się o blisko 30 procent. To był prawdziwy kataklizm.

Wasz repertuar to muzyka dworu i karczm z tamtego czasu. Jak rozumieć, mimo zarazy, imprezować po knajpach nie przestano.

Życie toczyło się normalnie. O lockdownie nikt wtedy nie słyszał. Kto miał umrzeć, umierał, a życie pozostałych toczyło się dalej. Zarazę przyjmowano raczej jako dopust boży. Nikt nawet nie próbował temu przeciwdziałać. Tak musiało być, i tyle.

Ratowano się muzyką?

Rozbrzmiewała wszędzie i na okrągło. Mało tego, ci którzy, spędzając okres zarazy w karczmie, raczyli się wyskokowymi napojami i słuchali muzyki, mieli ponoć większą szansę na przeżycie niż ci, którzy egzystowali bogobojnie i pokornie czekali, co przyniesie los.

A jednak...

Gorzałka ponoć zabijała mikroby, skutecznie dezynfekowała i zdarzały się sytuacje, że cała osada w wioskach wymierała, a opoje, którzy po tygodniach balangowania opuszczali karcznię, nie mieli w zasadzie do kogo wracać, bo rodziny, sąsiedzi, wszyscy powymierali...

Jakaś nauka z tego płynie?
(Śmiech)

Podczas jednego z ostatnich koncertów zapowiedzieliście: „Jak uciec od smutnej, epidemicznej rzeczywistości? Posłuchajcie, jaką receptę mieli na to ludzie żyjący w czasach dawnych epidemii”. Muzyka miała wtedy uzdrawiającą moc. Może i dziś uzdrawia?

To, co gramy to kompozycje w stylu polskim. Chcemy ów styl przywrócić do życia. W opinii teoretyków muzyki w tamtych czasach był jednym z podstawowych stylów narodowych, był styl włoski (opera, Vivaldi), francuski (Lully, Campra), niemiecki (Bach, Telemann), wreszcie styl polski, który głównie opierał się na muzyce tanecznej. Gramy utwory, które pochodzą z jednego, arcyciekawego rękopisu. Mowa o zapiskach poczynionych na podstawie obserwacji słynnego niemieckiego kompozytora epoki baroku Georga Philippa Telemanna.

Gościł u dworzanina króla polskiego Augusta II w Żarach jako muzyk nadworny i kapelmistrz. We dworze tym na całego kwitło życie muzyczne, grały międzynarodowe kapele. Wtedy to Telemann zetknął się z dworską i ludową muzyką polską, jej motywy obecne są w wielu jego dziełach.

Na muzyce polskiej zrobił niezły biznes. Powszechnie uchodził za specjalistę w tej dziedzinie, a tańce polskie, za jego sprawą stały się w tym czasie niezwykle popularne w Europie, zwłaszcza u naszych sąsiadów. Telemann kompozycje, których się nasłuchiwał w Polsce, sprzedawał niemieckim arystokratom dla ich dworskich kapel, które masowo przygrywały na balach.



„Niech zabrzmią dudy, skrzypce i regał, a troski i melancholia pójdą precz!” - tak zaprasza na swoje koncerty Orkiestra Czasów Zarazy. Na zdjęciu jej założyciel - Paweł Iwaszkiewicz

To, co gracie to muzyka dworu, ale i karczmy z tamtych lat.

W muzyce Telemanna słychać, jak różne były jego inspiracje, pochodziły nie tylko z wielu regionów, ale i z odległych od siebie klas społecznych. Oczywiście, muzyka plebejska była bardziej żywiołowa, więcej było wolno. Nie tylko tańczono w parach, ale i przytulano się do siebie, inaczej na dworze, gdzie tańczono polonezy, mazury, podczas których można było trzymać się co najwyżej za ręce. Nic ponadto. Muzyka dworska jest bardziej wyrafinowana, arystokratyczna, ale - bywało - również żywiołowa. Ot, choćby porządny mazur, gdy się go tańczy to...

Iskry lecą.

I głowa się trzęsie, zarówno w karczmie, jak i na salonych.

Telemann to też wątek gdański. W tutejszym kościele św. Jana została po raz pierwszy w Wielki Piątek 1754 roku wykonana jego kompozycja - Pasja wg św. Mateusza, zwana Pasją Gdańską.

Pisał muzykę na zamówienie wielu ośrodków. Jego utwory miały niebywałe wzięcie.

Duchowa moc muzyki. Jak silna jest? Wierzone, że może przezwyciężyć chorobę?

Każda choroba ciała jest jednocześnie chorobą duszy. Nie wiadomo, która z odłonek stanu chorobowego jest groźniejsza. O ile muzyka koronawirusa nie wyleczy, o tyle skołatana duszę uzdrowi na pewno. Dawniej leczono w ten sposób Stefana Czarnieckiego. Zachowały się relacje, że hetman przytłoczony trudami i stresem związany z dowodzeniem armią po prostu położył się do łóżka i leżał bez ruchu przez wiele dni. Za radą medyków sprowadzono muzyków, którzy w mig postavili Czarnieckiego na nogi.

Żal, że z powodu pandemii wszystkie koncerty gdańskiego festiwalu Actus Humanus, którego jesteście gościem, odbędą się bez udziału publiczności.

Publiczność nie będzie mogła delektować się - jak to zwykle bywa na naszych

koncertach - widokiem tańczących par.

„Niech zabrzmią dudy, skrzypce i regał, a troski i melancholia pójdą precz!” - to idea waszych koncertów.

Nasz zespół to muzycy zawodowi, ale jest wśród nas i skrzypek specjalizujący się w muzyce tradycyjnej, ludowej. Chcemy pokazać różne brzmienia, różne konteksty stylu polskiego, inspiracje, które kierowały Telemannem, te natury wysokiej i te plebejskie.

Jak orkiestra radzi sobie w trudnych dla kultury czasach zarazy?

Przyczailiśmy się nieco. Czekamy, aż zaraza minie. Zagraliśmy kilka koncertów online i próbujemy przywyknąć do tej dziwnej sytuacji, bo granie tak dynamicznej muzyki do pustej widowni jest dziwnym doświadczeniem. Wiele występów przeniesiśmy - to ostatnio popularna formuła - „na przyszły rok”. Nie pomstujemy na żadne czyniki oficjalne, wszystko przyjmujemy z pokorą, bo wszyscy jesteśmy ofiarami tej samej epidemii. Jeszcze

latem mieliśmy nadzieję, że może nadszedł kres tego koszmaru, a gdy okazało się, że jednak nie, przyczajeni czekamy dalej.

Aż się prosi, by Orkiestra Czasów Zarazy wystąpiła - nomen omen - w oliwskim Domu Zarazy...

(Śmiech) Nie wiedziałem, że istnieje takie miejsce.

Tu, przed wiekami, w czasie zarazy mniś opiekowali się chorymi.

Niechybnie się tam pojawimy, jak tylko obecna zaraza się skończy. Zwłaszcza że nasza druga płyta to utwory sięgające gdańskiej tradycji muzycznej. Biblioteka gdańska bogata jest w ciekawe manuskrypty muzyczne. Do czasów drugiej wojny światowej był tam rękopis zawierający 158 tańców polskich z pierwszych dwóch dekad wieku XVIII. Brakowało w nim kilku pierwszych stron. Przyszła wojna, a z jej końcem wkroczyła do Gdańska Armia Czerwona. Rosjanie nie zajmowali się, wbrew pozorom tylko poszukiwaniem wódki, mieli też wyspecjalizowane komando, które rabowały dzieła sztuki. Takie właśnie komando spłądowało miejską bibliotekę i wywiozło część zbiorów, m.in. ów rękopis. W latach 50. większość dokumentów zwrócono Niemcom, ale te z polskimi tytułami - wydawało się, przepadły na dobre. Nad owym wybrakowanym rękopisem zapadłaby cisza, gdyby nie to, że w latach 20. XX wieku skopiował go pewien Szwed. Na tę kopię natrafiłem, przypadkiem, w jednej z bibliotek w Sztokholmie. Na podstawie odnalezionych zapisów powstała nasza płyta. Przedstawimy ją w grudniu podczas naszego pierwszego gdańskiego, pandemicznego koncertu.

©P

Grudniowa edycja festiwalu Actus Humanus odbędzie się bez udziału publiczności. Koncerty zostaną zarejestrowane przez Program 2 Polskiego Radia i wyemitowane zarówno na antenie Dwójki, jak i udostępnione nieodpłatnie w streamingu wideo. Program oraz plan transmisji radiowych i streamingu zostanie opublikowany na stronie: www.actushumanus.com

Dariusz Szreter
dariusz.szreter@polskapress.pl



TEFLONOWY DIEGO

Czarne jest czarne

Przyznaję uczciwie: nie lubiłem typa. Ale cóż, ktoś kto jak ja, jest nieuleczalnym fanem angielskiej piłki nożnej ma prawo nie wybaczyć tego upokorzenia sprzed 34 lat w ćwierćfinale meksykańskiego mundialu. W dodatku doznanego dokładnie w dniu moich urodzin. I podwójnego, bo Maradona ośmieszył wtedy nie tylko połowę angielskiego zespołu, mijając ich niczym narciarz tyczki na stoku. Ośmieszył przede wszystkim ideę uczciwości i sprawiedliwości w futbolu. Jeżeli najlepszy piłkarz świata, prawdziwy magik, ucieka się do zwyczajnego cwaniactwa - nie, sorry nie zwyczajnego, tylko chamskiego - żeby „zaliczyć” gola to to jest koniec fair play i to w wymiarze światowym. Teraz już każdemu wolno nurkować i co tam jeszcze. A do tego jeszcze sędzia, na takim poziomie rozgrywek, nie zauważa błagi i uznaje gola! Ten mecz to była kompromitacja futbolu.

„Gdzie był VAR, kiedy potrzebowaliśmy go najbardziej?” - pyta na okładce czwartkowego wydania „Daily Star”. W przeciwieństwie do tamtejszej piłki nie jestem fanem brytyjskich tabloidów, ale uważam ten tytuł za trafiony w punkt akurat tego dnia. To dużo lepsze od napuszonego „najbardziej ludzkiego z nieśmiertelnych” na czołówce „New York Timesa”.

Teraz ja popadnę w nieco podniosły ton: czy naprawdę „bycie ludzkim” polega na nieograniczonym folgowaniu swoim kaprysom i słabościom? Swoją drogą ta skłonność do wybaczenia Maradonie nie błahych grzeszków przecież, ale grzechów kardynalnych, a także groteskowości i bufonady, to kolejny fenomen związany z tą postacią. Był bardziej teflonowy niż rządy PiS.

Argentyńczyków można zrozumieć. Zawdzięczają mu jedyne prawdziwe mistrzostwo świata, bo na tamtym zwycięstwie u siebie, w 1978, kładzie się cieniem krwawa dyktatura generała Vidala i jej rzekome zakulisowe działania przed meczem z Peru, które umożliwiły Albicelestes wejście do finału. Meksykański mundial osiem lat później Maradona wygrał już niemal w pojedynkę. A tego żaden inny piłkarz nie może o sobie powiedzieć. ©

Mariusz Leśniewski
m.lesniewski@prasa.gda.pl



BEZ FELIETONU

Po niepartyjnej linii

Powiem Państwu szczerze, że za oknem jest taka beznadzieja, że znalezienie tematu na felieton zdaje się zadaniem niewykonalnym. Codziennie czuję się tak zbombardowany czerwonymi paskami o liczbie zakażeń i zgonów, że najchętniej spakowałbym walizkę i zniknął. Znajomy od trzech tygodni siedzi na egipskiej prowincji nad Morzem Czerwonym i bardzo sobie chwali. „Życie toczy się leniwie i jest ciepło” - mówi, ale szczęściar nie ma żadnych zobowiązań i wszędzie czuje się jak u siebie... Ale skoro piosenka, przepraszam - felieton, musi posiadać tekst, można byłoby napisać o tym, jak rząd bohatersko walczy z pandemią. Najpierw zamknął galerie, jutro je otworzy, zakazał imprez masowych, ale toleruje masowe demonstracje, tudzież nie pozwolił na otwarcie stoków narciarskich, by zaraz je otworzyć. Aha, wymyślił jeszcze ferie w styczniu, ale już zakazuje wyjazdów. Wzrośnie pewnie

sprzedaż konsol do gier. Może by tak uruchomić rządowy program „Konsola plus” i dołożyć dzieciakom po 500 zł na to urządzenie, które pozwoli przetrwać dwa tygodnie absolutnej nudy? Ech, nie to nudny temat na felieton, tak samo jak zaklinanie rzeczywistości przez rządzących.

Lepszy byłby felieton o meczennicach demonstracji. O fotografce, która najpierw błyskała policjantowi fleszem po oczach, a potem się dziwiła, że ją zgarnęli. We Francji dostałaby takie pały, jak „żółte kamizelki”, ale to też nuda jak bezsensowna paplanina Marty Lempart i innych nawiedzonych aktywistek.

Najlepszy byłby felieton, jak to zła Unia z cesarową Merkel na czele chce zwasalować Polskę, ale dzielni Pisopolacy z małej galijskiej wioski się nie dają. Zresztą, wkrótce dostaną magiczny napój od Orbanomiksa (premier już do niego pojechał) i dadzą Unii popalić. Nuda, bo po prostu toczą się negocjacje, a weto to jedna z broni Normalka, a nie żaden polexit, którym straszy Donald Tusk. Pisanie o Tusku byłoby już nudą absolutną, więc wybaczenie Państwu, że w tym tygodniu felietonu nie ma, ale w sumie reklamy w to miejsce też nie było.

Ech, uciec do Egiptu... ©

Gabriela Pewińska
g.pewinska@prasa.gda.pl



PIĘKNY GARB

Życie i Teatr

Wopublikowanych niedawno wspomnieniach reżysera, historyka teatru Bohdana Korzeniewskiego „Było, minęło...” szczególnie zwrócił moją uwagę fragment dotyczący francuskiego aktora sprzed lat Charles’a Dullina.

Pisze Korzeniewski: „Był to człowiek niezwykły, chociażby z tego względu, że przezwyciężył, jak u nas potem, Janek Kreczmar, bardzo ciężką chorobę”.

Oto, niespodziewanie, Dullinowi zaczął wyrastać podwójny garb, z przodu i z tyłu, i nie można było temu zaradzić. „Z normalnego mężczyzny stał się garbusiem”. Ręce sięgały mu niżej kolan, twarz zmieniła wyraz, ale nie poddał się, mimo że był już wtedy znanym aktorem. Po mistrzowsku opanał nową gestykulację, a że był też dyrektorem teatru, repertuar dostosował do swego kalectwa. Zagrał Ryszarda III, Molierowskiego

skapca, był przejmujący w roli Volpone’a. Swego czasu Korzeniewski wspominał jego monumentalnego Króla w „Cydzie”: „zamiast wszystkich ruchów, które Król wykonuje, obmyślił jeden olbrzymi, wiele znaczący gest... Wielka sztuka, wielka postać teatru we Francji”.

Poznali się jeszcze przed wojną. Teatr, który prowadził Dullin, był w zapaści finansowej. „Ciągłe w długach, ciągle w niedostatku, a jednocześnie pełen twórczego niepokoju i zamętu. Swą siłę czerpał z bardzo bliskich i dobrych stosunków między ludźmi. Aktorki gotowały, aktorzy przynosili, co każdy miał w domu, żeby wspólnie zjeść w teatrze” - zanotował Korzeniewski.

Dlaczego właściwie dziś, w czasie pandemii, która zabija kulturę, przywołuję postać Charles’a Dullina i jego paryską trupe? Żeby przypomnieć, że teatr nieraz upadał, ale zawsze się podnosił? Żeby uświadomić, że zaraza, która wyrosła teatrowi jak garb, kiedyś może teatr wzmocni? Że siłę będziemy czerpać z dobrych stosunków między ludźmi?

Skazani dziś na poniewierkę aktorzy, jak Dullin na pewno po mistrzowsku opanują nową gestykulację. Przetrywają. ©

REKLAMA

049864858

Polska Filharmonia Bałtycka koncertuje w internecie.

Kameralny Gdańsk dla Muzyki Polskiej do obejrzenia za darmo

Do świąt Bożego Narodzenia instytucje kultury pozostaną zamknięte dla publiczności. Jednak Polska Filharmonia Bałtycka nie przestaje koncertować. Wprawdzie koncerty odbywają się bez widzów, ale każdy z nich jest nagrywany i prezentowany bezpłatnie w całości na kanale YouTube Polskiej Filharmonii Bałtyckiej. W ten sposób melomani mają szansę wysłuchać gdańskich filharmoników, którzy koncertują zarówno symfonicznie, jak i kameralnie. Trzy koncerty kameralne w ramach cyklu Gdańsk dla Muzyki Polskiej można wysłuchać bezpłatnie w internecie dzięki dofinansowaniu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzącemu z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu Muzyka, realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca. Na kanale YouTube Filharmonii Bałtyckiej opublikowano nagranie koncertu Polish Piano Trio, który występuje w składzie: Robert Kwiatkowski – skrzypce, Błażej Goliński – wiolonczela i Dominika Glapiak-Piśasiewicz – fortepian. W programie znakomite, wirtuozowskie Trio fortepianowe c-moll Ludwiga van Beethovena, odzyskane dzięki odtworzeniu go z pamięci przez autora po II wojnie



Muzyczne atrakcje i ciekawe koncerty kameralne dostępne są bezpłatnie na kanale YouTube Filharmonii Bałtyckiej.

światowej (oryginalne nuty przepadły) Trio fortepianowe Andrzeja Panufnika oraz bardzo efektowne Trio fortepianowe Romualda Twardowskiego. Drugim koncertem kameralnym, które można wysłuchać i obejrzeć przez internet jest występ tria: Mirosław Pachowicz – fagot, Andrzej Wojciechowski – klarnet oraz Izabela Paszkiewicz – fortepian. Fagocista Filharmonii Bałtyckiej zagrał dwa utwory solowe, powstałe specjalnie dla niego, skomponowane przez Bartosza Witkowskiego i Szymona Wieczorka, natomiast wspólnie z Izabelą Paszkiewicz Pachowicz wykonał jeszcze Sonatę na fagot i fortepian Józefa Świdra. Z kolei Andrzej Wojciechowski w duecie z pianistką zagrał dwie kompozycje: Sonatinę na klarnet i fortepian Przemysława Stanisław-

skiego (która dzięki klarneciście Filharmonii ujrzała światło dzienne) oraz Sonatę na klarnet i fortepian Mikołaja Góreckiego. Trzeci koncert, który został udostępniony szerokiej publiczności to występ trójmiejskiego zespołu NeoQuartet, w którym grają: Karolina Piątkowska-Nowicka – I skrzypce, Paweł Kapica – II skrzypce, Michał Markiewicz – altówka i Krzysztof Pawłowski – wiolonczela. Wykonali „Hilathi” na kwartet smyczkowy Aleksandra Kościowa, dokonali światowego prawykonania utworu „Zmiany” na kwartet smyczkowy Piotra Jędrzejczyka oraz zagraли efektowny Kwartet smyczkowy Witolda Lutosławskiego. Warto skorzystać z bogatych zasobów online Polskiej Filharmonii Bałtyckiej i udać się na muzyczną ucztę.

REKLAMA

009629617



DOMY, MIESZKANIA, DZIAŁKI

Skup nieruchomości za gotówkę

Trójmiasto i okolice

www.perlahouse.pl

tel. 572-485-529

biuro@perlahouse.pl

Gwarantujemy, że skup nieruchomości realizujemy przy minimum formalności, sprawnie, uczciwie i profesjonalnie.

Pilnuj swoich spraw. Porozmawiaj z notariuszem

Rozmowa

Porozmawiaj przez telefon. Weź udział w transmisji. Zadaj pytanie na czacie - do kontaktu zachęcają w najbliższą sobotę notariusze w całej Polsce. Odpowiedzą na każde pytanie, wyjaśnią każdy problem prawny i to zupełnie za darmo. Dzień Otwarty Notariatu organizowany po raz 11. w ostatnią sobotę listopada, w tym roku w związku z pandemią realizowany będzie głównie online. O akcji, mającej na celu podnoszenie świadomości prawnej obywateli, rozmawiamy z notariuszem Lechem Borzemskim.

Jaki jest cel dorocznej inicjatywy notariuszy?

W swojej codziennej pracy, w czasie dokonywania czynności urzędowych - notarialnych - notariusze zauważyli, że bardzo często wiele osób na skutek czy to niewiedzy, czy błędnych informacji, zaprzepaściło możliwość prawidłowego zadbania o swoje interesy. Na przykład ktoś nie wiedział, że tylko w ciągu 6 miesięcy od momentu, kiedy dowiedział się, że jest spadkobiercą, mógł spadek odrzucić, jeśli w spadku były długi. Nie

chciał długów dziedziczyć, ale o tym nie wiedział, spóźnił się i po 6 miesiącach ten spadek został nabyty z mocy prawa.

Oprócz spadków ludzie potrzebują notariusza również do innych spraw.

Oczywiście! Celowo podałem tak drastyczny przykład, ponieważ takie sytuacje zdarzały się wielokrotnie. Ale istnieje szereg innych sytuacji prawnych, w których ludzie nie mają określonej wiedzy, ale też nie mają nawyku pytania, bo to głównie było impulsem naszej akcji. Ona została podyktowana niejako potrzebą edukacyjną; my przy okazji dostarczamy całego szeregu informacji. To niepowtarzalna okazja, aby podczas Dni Otwartych Notariatu pytać nas właściwie o wszystko, bo zajmujemy się bardzo szerokim spektrum działalności prawniczej. Wracając do pani pytania - głównie chodziło o to, aby powiedzieć: „Zadzwoń, pytaj nas, nie wstydź się, nie bój się”, nie tylko przy okazji tej corocznej akcji, ale w każdej sytuacji, na co dzień. Jeżeli kupujemy bądź sprzedajemy mieszkanie, jeżeli mieszkanie darujemy, to nie szukajmy in-



Lech Borzemski zaprasza na Dzień Otwarty Notariatu

formacji u sąsiadki, chyba że jest prawnikiem, czy u znajomych, tylko zasięgnijmy informacji u źródła - u tych, którzy się tym zajmują. Ponieważ niektóre błędy potem mogą być bardzo trudne do odwrócenia, a inne - zupełnie niemożliwe.

Poproszę o przykład takiego niemożliwego do odwrócenia błędu.

Bardzo charakterystycznym w Polsce przykładem jest sprawa testamentu. Otóż testament można wykonać u notariusza i wtedy nie ma problemu, wszystko zostanie zrobio-

ne prawidłowo. Ale można też testament napisać własnoręcznie. Trzeba wiedzieć, że należy to zrobić własną ręką. Nie może za nas testamentu napisać córka, żona, wnuczka, która może mieć ładniejszy od naszego charakter pisma. Tylko że w takim przypadku ów testament nadaje się do kosza.

Czego zatem oczekują notariusze w najbliższą sobotę, 28 listopada?

To już tradycja - w każdą ostatnią sobotę listopada zapraszaliśmy w różnych miastach (było ich od kilkunastu do kilkudziesięciu) wszystkich do przyścia w wybrane miejsce. Wynajmowaliśmy sale, udostępnialiśmy różne broszury, plakaty; tego dnia przy stolikach dyżurowali notariusze; można było przyjść, usiąść, porozmawiać, pokazać dokumenty, poradzić się i całkowicie nieodpłatnie uzyskać informację. W tym roku nie możemy nikogo zaprosić. Związana jest przez lata przychodziło do nas sporo ludzi starszych, a w dobie pandemii takie spotkania byłyby całkowicie nieodpowiedzialne; zresztą niezgodnie z obowiązującymi zaleceniami. Dlatego po raz pierwszy,

w tym roku organizujemy naszą akcję, korzystając z nowoczesnych środków komunikacji. Osoby, które korzystają z sieci, tam właśnie otrzymają wszystkie informacje; one już są publikowane czy to na Facebooku, czy na naszej stronie internetowej PorozmawiajzNotariuszem.pl. Tam można znaleźć filmy edukacyjne i wszelkie przydatne informacje. Dzięki treściom tam zawartym można się przygotować do akcji 28 listopada. Tego dnia internauci będą mogli się z nami połączyć, między godzinami 10 a 16 będzie można do nas napisać maila i otrzymać odpowiedź. Będzie można uczestniczyć w streamingu. Jak również będziemy mogli spotkać się na czacie. Ci, którzy cenią sobie rozmowę bezpośrednią, będą mogli do nas zadzwonić. W Polsce jest 11 Izby Notarialnych i na każdą Izbę przypadnie jeden numer telefonu, który następnie będzie przekierowywany do konkretnych notariuszy; oni będą dyżurować przy telefonach. Jeśli więc są osoby, które niespecjalnie dobrze czują się w sieci, albo po prostu, wolą porozmawiać telefonicznie, to będą mogły do nas zadzwonić.

O co mogą pytać klienci?

Można nam zadawać pytania z wielu obszarów. Wymienię 5 głównych tematów. Pierwszy to nieruchomości. Każde przeniesienie własności nieruchomości w Polsce wymaga formy aktu notarialnego. Czyli darowizny, sprzedaży, zamiany, umowy o dożywocie - to wszystko musi być załatwione przez notariusza i warto o to zapytać. Drugi obszar to prawo rodzinne, a przede wszystkim małżeńskie umowy majątkowe. Kolejna sprawa to reprezentowanie dzieci małoletnich - to też wymaga określonych czynności notarialnych. Umowa o alimenty; nie trzeba koniecznie iść do sądu w takiej sprawie. Jeśli małżonkowie się porozumieją, mogą spisać odpowiednią umowę notarialną. To wszystko można u nas załatwić. Pomagamy również przy postępowaniach spadkowych. Wciąż jeszcze nie wszyscy wiedzą, że już nie trzeba potwierdzać prawa do spadku w sądzie. Można to zrobić u notariusza, który wydaje akt poświadczenia dziedziczenia.

© EP

REKLAMA

009963243

Dzień Otwarty Notariatu – 2020

Rada Izby Notarialnej w Gdańsku zaprasza na XI edycję Dnia Otwartego Notariatu, która odbędzie się w sobotę 28 listopada 2020 r. od godz. 10:00 do godz. 16:00.

W tym roku informacje prawne będzie można uzyskać na kilka sposobów:

- indywidualnych rozmowach prowadzonych telefonicznie: 58 727-30-41
- w odpowiedzi na pytania nadesłane mailem na adres pytanie@porozmawiajznotariuszem.pl
- na czacie i w trakcie transmisji prowadzonej na żywo na profilu Facebook Porozmawiaj z Notariuszem Krajowej Rady Notarialnej
- Na stronie www.porozmawiajznotariuszem.pl znajdują się filmy poradnikowe dotyczące najczęściej pojawiających się tematów w notariacie.
- Na kanale Youtube Porozmawiaj z notariuszem również zamieszczono filmy poradnikowe.

Na temat wszystkich czynności notarialnych będzie można porozmawiać z rejentem w ostatnią sobotę listopada – telefonicznie, mailowo i na czacie od godz.10.00 do godz. 16.00.

AUTOPROMOCJA

REKLAMA

009960406

AUTOPROMOCJA

PROMEDICA24

**REKRUTACJA TRWA
BEZ PRZERWY**

**ZOSTAŃ OPIEKUNEM
SENIORÓW W NIEMCZECH**

* Dla osób z odpowiednią znajomością języka niemieckiego za wyjazd ponad 60 dni w okresie świątecznym.

ZADZWOŃ! GDAŃSK, TEL. 517 176 292



**Czytaj tak,
jak lubisz**

dziennikbaltycki.pl

**Dziennik
Bałtycki**

009943092

Pogrzebani nocą

„Pogrzebani nocą” to pierwsza książka poświęcona ofiarom Grudnia 1970 r. Zawiera 27 biogramów osób, które zginęły w czasie rewolty grudniowej w Gdańsku, Gdyni i Elblągu w dniach 15-18 grudnia 1970 r. Brunon Drywa, Zbigniew Godlewski, Andrzej Perzyński, Tadeusz Sawicz...

W miarę dobrze znamy przebieg wydarzeń Grudnia '70 i rolę ludzi działających po stronie obozu władzy. Do dzisiaj nikła jest jednak wiedza na temat osób, które zginęły na Wybrzeżu Gdańskim. Książka „Pogrzebani nocą”, która powstała we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej, wypełnia tę bolesną lukę.

Książka do nabycia w księgarni Dziennika Bałtyckiego

Kliknij i kup



www.ksiegarnia.dziennikbaltycki.pl

lub pod adresem mailowym: ksiegarnia@prasa.gda.pl

Możesz też zadzwonić pod nr tel. 502 499 054



Polska babcia: dopadło nas 30 policjantów, byłyśmy we cztery

Dokończenie ze str. 12-13

O babciach mówiło się moherowe berety...

Moherowe to my na pewno nie jesteśmy, powiedziała bym raczej, że tęczowe. Mam flagę w tęczowych kolorach. Kilka lat temu, gdy zaczęliśmy protestować, przechodnie patrzyli na nas z niedowierzaniem. Trudno było im zrozumieć, że jesteśmy jakimiś innymi babciami niż te moherowe. Staramy się łamać stereotypy dotyczące polskich emerytów, nie zamierzamy siedzieć w domu i tylko oglądać telewizję. Jesteśmy najlepszym dowodem na to, że babcie mogą być postępowe, otwarte na świat, być aktywne w internecie. Chcemy pokazać młodym, że nie można być biernym i mówić, że decyzje rządzących nas nie interesują. Właściwie jesteśmy ugrupowaniem apolitycznym, będziemy manifestować przeciwko każdemu rządowi, który będzie podejmował decyzje szkodliwe społecznie - krzywdzące jakąś grupę obywateli. Będziemy każdemu rządowi patrzeć na ręce, obojętnie, czy to będzie rząd prawicowy, czy lewicowy.

PiS jest u władzy przede wszystkim dzięki poparciu emerytów. Partia rządząca

obiecała np. trzynastą emeryturę. Ktoś mógłby powiedzieć, że protestujące przeciw PiS babcie, sobie szkodzą.

Myślenie, że wszyscy emeryci kochają PiS, jest stereotypowe, odbiega od prawdy. Na pewno wielu emerytów zagłosowało na PiS, bo PiS kupił ich przedwyborczymi obietnicami - trzynastą emeryturą czy świadczeniami 500 plus, które dostają ich dzieci.

Nie zgadzam się z takim patriotyzmem. Kocham cały świat, dla mnie granice nie mają znaczenia, jestem ciekawa wszystkiego, co inne

Oczywiście trzynasta emerytura jest ważna, ale to rzecz niewystarczająca, biorąc pod uwagę przyszłość Polski i to w jakim stanie pozostawimy ją przyszłym pokoleniom. Co z tego, że dziś dadzą nam trzynastą emeryturę, jeśli nasze wnuki będą żyć w Polsce zaściankowej, zamkniętej, nie-tolerancyjnej. Oburza mnie bardzo, gdy starsi ludzie, czasem wręcz stojąc już nad grobem, myślą krótkowzrocznie tylko o sobie, nie o tym, jakie



„ Jesteśmy grupą Polskich Babć, które postanowiły nie być obojętne na nienawiść, która ogarnia Polskę” - głoszą

państwo pozostawią wnukom. Ich decyzja podczas wyborów ma wpływ na los ich najbliższych. Mówiłam, że cieszymy się ogromną sympatią ludzi młodych. Okazuje się jednak, że nie zawsze sympatyzują z nami osoby w naszym wieku. Ostatnio wracałyśmy z demonstracji, niosłyśmy banery, jakiś mężczyzna podbiegł do nas i wyzwał nas od najgorszych. Inny razem emerytka z kilkuletnią dziewczynką nakrzyczyła na mnie, że próbuję

jej odebrać trzynastą emeryturę. Pomyślałam, jakie to smutne. Z wielu badań wynika, że ta wnuczka, gdy będzie emerytką, może mieć groszową emeryturę lub nawet żadnej.

PiS odwołuje się też do patriotyzmu, który dla wielu, również osób starszych, jest ważny. Może emeryci stawiają na PiS również dlatego?

W Polsce funkcjonuje obecnie zakłamana defini-

cja patriotyzmu, polegająca na przesadnym gloryfikowaniu polskości. Niektórzy uważają, że to, co polskie, jest idealne. A to, co inne, gorsze. Nie zgadzam się z takim patriotyzmem. Kocham cały świat, dla mnie granice nie mają znaczenia, jestem ciekawa wszystkiego, co inne. Przecież poznając to, co inne, rozwijamy się. Szalenie ważna jest dla mnie przynależność Polski do Unii Europejskiej. To, że

mogę jeździć po świecie, swobodnie przekraczać granice. Był taki czas, że mogłam wyjechać na stałe, ale jednak wolałam pozostać w Polsce, bo tu jest moje miejsce. Według mnie, patriotyzm powinien przejawiać się w trosce o to, abyśmy żyli w normalnym, demokratycznym kraju, w którym nikt nie jest wykluczony czy traktowany z pogardą. Takiej Polski sobie i moim wnukom życzę. ©

REKLAMA

009958817

Razem tworzymy rynek pracy

Pomorskie wspiera pracodawców



Współpraca pomiędzy pracodawcami a publicznymi służbami zatrudnienia to jedna z ważniejszych relacji na rynku pracy. Tym, którzy oferują zatrudnienie, pomaga się rozwijać, a urzędowi pozwala jeszcze bardziej efektywnie działać na rzecz rynku pracy. Wojewódzki Urząd Pracy w Gdańsku wspomaga pracodawców w tym procesie, oferując im bezpłatne wsparcie na wielu płaszczyznach.

Europejski rynek pracy i jego możliwości

Czy wiesz, że pracowników możesz szukać w innym kraju Europy, bez wychodzenia

z domu? Pomoże ci w tym EURES, czyli europejska sieć współpracy służb zatrudnienia, która bezpłatnie wspiera pracodawców przed procesem rekrutacji,

w jego trakcie i po nim. Oferuje liczne usługi online, a także pomoc doradców sieci EURES z WUP w Gdańsku.

Poradnictwo zawodowe, które pomaga określić potencjał firmy

Nie tylko poszukujący pracy, ale i pracodawcy z Pomorza mogą korzystać z bezpłatnych usług doradców zawodowych WUP w Gdańsku. Dzięki nim poznasz m.in. mocne strony, talenty pracowników, obszary do rozwoju. Co daje taka wiedza? Pozwala jeszcze lepiej zarządzać zespołem, a w efekcie wzmacnia konkurencyjność firmy.

Szkolenia podnoszące kwalifikacje pracowników

Inwestycja w umiejętności pracowników to inwestycja w firmę. Możesz dofinansować potrzebne im szkolenia, korzystając z Krajowego Funduszu Szkoleniowego. W tym roku jest on przeznaczony m.in. dla tych, którzy wprowadzili nowe technologie oraz narzędzia w firmie i chcą dokształcić pracowników w tym zakresie.

Młodzi na rynku pracy – przyszłość wielu firm

Dzięki realizowanym na Pomorzu projektom z Funduszy Europejskich przygotowujemy kadrę dla Twojej firmy, szkoląc młodych mieszkańców regionu i wyposażając ich w kompetencje potrzebne na rynku pracy.

Wiedza, inspiracja, partnerstwo

Szukasz danych i wskaźników, które pozwolą Ci podjąć ważną dla Twojej firmy decyzję? Interesują Cię najświeższe informacje o trendach na rynku pracy? Szukasz inspiracji do rozwoju lub interesujących wydarzeń? Odwiedź prowadzony przez WUP w Gdańsku portal Pomorskiego Obserwatorium Rynku Pracy porp.pl. To źródło rzetelnej i aktualnej wiedzy o rynku pracy na Pomorzu.

Więcej o ofercie WUP w Gdańsku dla pracodawców:
wup.gdansk.pl/pracodawca



[illegible]

ROZWIĄZANIE: GODNOSCI ZMIENIAJĄ CZŁOWIEKA.

009963682

Pogrążone w smutku i żalu zawiadamiamy,
że w dniu 24 listopada 2020 r. zmarł,
otoczony miłością bliskich

Mąż i Ojciec

ś†p

Zbigniew Wypych

Msza św. odbędzie się dn. 28 listopada 2020 r., o godz. 10.15
w kościele pod wezwaniem Ducha Świętego w Sopocie,
pogrzeb w tym samym dniu o godz. 12.00,
cmentarz komunalny w Sopocie.

Żona i Córka

009961918

Rozłąka jest naszym losem, spotkanie naszą nadzieją

Naszym Kolegom
Andrzejowi i Waldemarowi Hinc

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powodu śmierci

Ojca

składają
*Koleżanki i Koledzy
z Koła Łowieckiego „JEDNOŚĆ” Gdańsk*

009964383

Ze smutkiem zawiadamiamy,
że dnia 13 listopada 2020 r. zmarł

ś†p

Mirosław Rybczyński

*nasz serdeczny kolega,
członek Towarzystwa Opieki nad Zabytkami
Oddział w Gdańsku,
wieloletni Prezes, Wiceprezes i Członek Zarządu,
działający w stowarzyszeniu od 1992 r.,
zasłużony dla ochrony Dziedzictwa Narodowego
działacz społeczny.*

Msza św. żałobna zostanie odprawiona
28 listopada (sobota) o godz. 11:00
w kościele św. Jakuba w Gdańsku.

Pogrzeb odbędzie się po mszy św.
na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku o godz. 12:30.

Mirku, pozostaniesz w naszej pamięci.

Wspieramy Cię modlitwą w tym trudnym czasie

Grażynko

*Towarzystwo Opieki nad Zabytkami
Oddział w Gdańsku*

009961824

*„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci”
W. Szyborska*

Panu
Andrzejowi Hinc
Sekretarzowi Gminy Stara Kiszewa

słowa wsparcia i otuchy oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają

*Wójt Gminy Przewodniczący Rady Gminy
Marian Pick Jan Błaszczyk
wraz ze współpracownikami z Radnymi*

009964340

W dniu 8 listopada 2020 r. zmarł nasz Kolega
ś†p **Leonard Tuszyński**

Pogrzeb odbędzie się 28 listopada 2020 r. o godz. 12.00
na cmentarzu Łostowickim.

Wyrazy współczucia dla Najbliższych
składają
Koledzy i Koleżanki z Cechu Rzeźników i Wędliniarzy w Gdańsku

009960110

Dziękujemy wszystkim, którzy uczestniczyli w pogrzebie naszej mamy

ś†p

Anny Woźniak

oraz okazali wiele serca, życzliwości i współczucia w trudnych dla naszej rodziny chwilach.

Składamy wyrazy wdzięczności.

Rodzina Woźniak

009963664

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
iż dnia 22 listopada 2020 r. zmarł w wieku 90 lat

ś†p

Jerzy Gawinkowski

nasz Tata, Dziadek i Pradziadek.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się
mszą świętą dnia 2 grudnia 2020 r.
o godzinie 10.00 w kościele św. Michała w Sopocie.
Pogrzeb o godzinie 11.30
na Cmentarzu Katolickim w Sopocie.

Pogrążona w smutku
Rodzina

009961994

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 21 listopada 2020 r.
odszedł do Pana nasz ukochany Mąż, Tata, Dziadek

ś†p

Bogusław Grześkowiak

Założyciel i Prezes firmy EL-Grześ

Msza święta żałobna zostanie odprawiona
w poniedziałek 30 listopada 2020 r. o godz. 13.00
w kościele pw. Niepokalanego Serca Maryi
w Wiślinie przy ul. Słonecznej 2.
Przed mszą św. różaniec od godz. 12.30.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się po mszy św.
na cmentarzu w Wiślinie.

Pogrążona w smutku
Rodzina

009964105

Przepełnieni smutkiem i poczuciem wielkiej straty z głębokim żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś†p

Aleksandra Ryzińskiego

byłego prezesa gdyńskiego Koła Związku Sybiraków,
który jako dziecko został przymusowo wywieziony w głąb ZSRR.
To doświadczenie oraz poczucie wspólnoty z ofiarami tamtych wydarzeń sprawiły,
że działał na rzecz gdyńskich Sybiraków, by ocalić ich historię i pamięć.
Na Syberię trafił wraz z Babcią, Mamą i młodszym Bratem.
*O powrocie do Ojczyzny mówił – Powrót to było marzenie.
Całowaliśmy polską ziemię. Przez cały czas mieliśmy w sobie tęsknotę za krajem.*

W 2014 roku Aleksander Ryziński został wyróżniony medalem im. Eugeniusza Kwiatkowskiego.
Nadano Mu godność honorowego prezesa Związku Sybiraków
za długoletnią pracę i kierowanie działalnością Koła Związku Sybiraków w Gdyni.

Aleksandra Ryzińskiego pożegnamy 1 grudnia 2020 r.
Msza św. żałobna odprawiona zostanie o godz. 12.00
w kościele pw. św. Franciszka z Asyżu w Gdańsku przy ul. Kartuskiej.
Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia po mszy świętej na cmentarzu Łostowickim.

Bliskim i Przyjaciołom
składamy
najszczerze kondolencje

*Joanna Zielińska
Przewodnicząca Rady
Miasta Gdyni*

*Wojciech Szczurek
Prezydent Gdyni*

W II grupie V ligi do rozegrania

Ręka Boga w rękach Boga. Grał, jak chciał i żył, jak chciał. Aż do samego końca

Hubert Zdankiewicz
redakcja@polskappress.pl



Pilka nożna

Fascynował i irytował, jedni go kochali, inni nienawidzili. Nie sposób było przejść obojętnie obok zmarłego 25 listopada Diego Maradony. Najlepszego - być może - piłkarza w historii. Trochę tylko szkoda, że poza boiskiem nie zawsze był wielki.

W ojczyźnie był bogiem. Dosłownie, w 1998 roku w Rosario powstała nawet Iglesia Maradoniana (pol. Kościół Maradony). „Nasz Diego, który jest skarbem Ziemi, niech będzie poświęcona twa lewa noga, niech będą pamiętane twoje gole” - modła się do swojego idola członekowie ruchu. „Kościół” posiada własną biblię - biografię Maradony - a lata liczone są od roku jego urodzin. Śluby członków ruchu udzielane są przed obrazem Maradony, a kandydaci na nowych członków muszą przejść specjalny rytuał, polegający na odwzorowaniu gola strzelonego przez niego ręką w ćwierćfinale mistrzostw świata 1986 reprezentacji Anglii (tzw. ręka Boga). Zobowiązują się ponadto do nadawania swoim synom drugiego imienia Diego.

Wiadomość o śmierci legendy futbolu była szokiem dla Argentczyków. Prezydent Alberto Fernandez ogłosił trzydniową żałobę narodową. Przerwane zostały zaplanowane wydarzenia z jego udziałem. Tysiące ludzi wyszło na ulice. Zapłonęły znicze.

- Nie wiem, czy będziemy mieli innego Diego. Czuję wieczną wdzięczność (...) Czuję ogromny smutek, był wyjątkowym mężczyzną, wątpię, żebyśmy mieli innego takiego piłkarza. Jesteśmy mu na zawsze wdzięczni - powiedział Fernandez w rozmowie z „T&C Sports” (cytowany przez „La Nación”). - Maradona był prawdziwym człowiekiem, bronił

tęgo, w co wierzył. Jest dobrym przykładem tego, jacy są zwykli Argentczycy - dodał.

Poza rodzinnym krajem ludzie nie patrzyli już jednak na Maradonę przez różowe okulary. Dziś żegna go i oplakuje cały piłkarski świat, ale wcześniej różnie bywało. Zwłaszcza we Włoszech, gdzie w 1990 roku wybrano go drugim najbardziej nienawidzonym człowiekiem świata. Przegrał tylko z Saddamem Husajnem.

Zapracował sobie na tę niechęć, m.in. nakłanianiem kibiców SSC Napoli (grał tam w latach 1984-1991) do tego, by w rozgrywanym w Neapolu półfinale mistrzostw świata '90 kibicowali Argentynie, a nie Włochom. Ci co prawda (przynajmniej większość) nie poszuchali swojego idola, ale gospodarze przegrali po rzutach karnych. Podczas finału w Rzymie, w którym Argentyna przegrała 0:1 z Niemcami (wówczas jeszcze RFN), każdy kontakt Maradony z piłką kibice kwitowali przeraźliwymi gwizdami, a po ostatnim gwizdku wściekły i smutny Diego rozplakał się jak małe dziecko.

Później stwierdził również, że gdyby spotkał na pustyni prowadzącego finał sędziego (Edgardo Codesal Mendez, liniowym był Michał Listkiewicz), a ten poprosiłby go o wodę, to rzuciłby mu sardele (wyjątkowo słona ryba) i poszedł dalej. Miał powody, bo rzut karny, po którym padła zwycięska bramka dla Niemców, nie był - najdelikatniej mówiąc - wzorem dobrze podjętej decyzji, ale...

Anglicy znienawidzili go cztery lata wcześniej, gdy prowadził Argentynę do mistrzostwa świata. Podczas mundialu w Meksyku Maradona i spółka trafili w ćwierćfinale na Anglię i wygrali 2:1. Po dwóch bramkach bohatera tego tekstu. Obu mających już status legendy. Druga po rajdzie przez pół boiska i okiwniu połowy drużyny rywali, a pierwsza...

- Maradona mówi, że to była ręka Boga. Dla mnie to była ręka łajdaka - przyznał po meczu ówczesny selekcjoner Anglików



FOT. JORGE DURAN/APPEAST NEWS

Przyczyną śmierci był obrzęk płuc, prowadzący do zaostrzenia przewlekłej niewydolności serca

Bobby Robson i nawet po śmierci Argentczyka media na Wyspach Brytyjskich nie omieszczały wytknąć mu tamtego zdarzenia. „Maradona w rękach Boga (...) Gdzie był VAR, kiedy najbardziej go potrzebowaliśmy” - brzmiał tytuł na pierwszej stronie czwartkowego wydania „The Sun”.

Po latach „Boski Diego” dorobił do całego zamieszania jeszcze jeden wątek - polityczny. Stwierdził mianowicie, że nie mógł się przyznać do nieczystego zagrania, bo ten mecz był dla Argentczyków rewanżem za przegraną kilka lat wcześniej wojnę o Falklandy. Polityka mieszała się w jego życiu ze sportem wiele razy, bo spiskiem CIA miała być jego dopingowa wpadka podczas mundialu w 1994 roku (w USA).

Maradona twierdził, że znienawidził za to Amerykę, co zaoferowało później bliską przyjaźnię z Fidelem Castro i tatuazem z wizerunkiem kubańskiego dyktatora na nodze. Ramię ozdobił Che Guevara. Były piłkarz spędzał wakacje na Kubie, leczyl się tam również z uzależnienia od narkotyków (i docho-

dził do siebie po operacji zmniejszenia żołądka). Później zaprzyjaźnił się również z wenezuelskim przywódcą Hugo Chavezem. Swojego czasu podarował także koszulkę z dedykacją Mahmudowi Ahmadineżadowi, byłemu prezydentowi Iranu, znanemu m.in. z negocjowania Holocaustu i stwierdzeń, że Izrael powinien zostać wymazany z mapy świata albo przeniesiony na Alaskę.

Dodajmy nieślubnego syna, którego długo nie chciał uznać. Strzelanie z wiatrówki do dziennikarzy (ranił cztery osoby). Przyjaźń i wspólne libacje z członkami Camorry (to mafia miała zresztą wyłożyć pieniądze na jego transfer do Napoli). Alkohol, narkotyki... Pierwsza dyskwalifikacja w karierze Ma-

Gary Lineker: „Z perspektywy czasu to najlepszy zawodnik mojego pokolenia i prawdopodobnie najlepszy w historii”

radony (w 1991 roku) nie była efektem środków dopingujących, tylko kokainy. Nie da się ukryć, że budził kontrowersje.

„Za Diego poszedłbym na koniec świata, ale za Maradonę nie ruszyłbym się nawet z miejsca” - słyszymy w dokumentalnym filmie „Diego” z 2019 roku, opowiadającym o kulisach jego gry w Napoli. Od ludzi znających Maradonę dowiadujemy się również, że w pewnym momencie zwyczajnie się pogubił, bo tak naprawdę był „sympatycznym, prostym chłopcem, dla którego najważniejsza była rodzina. Chciał jej pomóc, wynagrodzić lata biedy”.

Miał co wynagradzać również sobie, bo wychowywał się w Villa Fiorito - robotniczej biednej wiosce na przedmieściach Buenos Aires, gdzie razem z rodziną mieszkał w ruderze bez bieżącej wody i elektryczności. Któregoś dnia, wracając po zmroku do domu, mały Diego nie zauważył na swojej drodze dołu z szambem. Wpadł i nie mógł wydostać się o własnych siłach. Pomógł mu wuj - Cirilo. Ten sam, który podarował mu pierwszą w życiu skórzaną piłkę. - Gdybym urodził się gdzie indziej, nie byłbym Maradoną” - przyznał po latach w jednym wywiadów Argentczyk, który podniósł tę sytuację do rangi symbolu. Dowodu, że nawet z najgorszego upadku można się podnieść.

On również wiele razy się podnosił. Nie załamał się, gdy Cesar Luis Menotti nie powołał go do kadry na mundial w 1978 roku (wydawał się pewniakiem, mimo zaledwie 17 lat) i musiał oglądać w telewizji, jak jego koledzy zdobywają mistrzostwo świata. W dodatku na oczach własnych kibiców, bo turniej odbywał się w Argentynie. Nie poddał się po niepowodzeniu na kolejnych mistrzostwach. W Hiszpanii miał zadziwić świat, a skończył wyrzucony z boiska, bo nieimiennie faulowany podczas meczu z Brazylią postanowił w końcu wziąć sprawy w swoje ręce.

Nie zniechęcił go niezbyt udany pobyt w Barcelonie, do której trafił w 1982 roku. Przez dwa lata spędzone na Camp Nou zdołał co prawda pokazać się z dobrej strony, ale polowanie, jakie urządzali na jego nogi obrońcy rywali (zwłaszcza ci z Athleticu Bilbao), sprawiły, że nigdy nie pokazał pełni możliwości. Odżył dopiero po odejściu do Napoli, z którym wywalczył m.in. dwa mistrzostwa Włoch i Puchar UEFA (dziś Liga Europy).

W międzyczasie był mundial w Meksyku.

Kompletnym nieporozumieniem okazała się za to jego przygoda z reprezentacją Argentyny w roli selekcjonera. Gdy obejmował kadrę w 2008 roku, działacze argentyńskiej federacji liczyli, że jego osoba zainspiruje młodszych kolegów (w szczególności Lionela Messiego) i z Maradoną na ławce powalczą w 2010 roku o mistrzostwo świata.

Skończyło się spektakularną kłapą. Na mundial w RPA Argentczycy, mimo problemów w eliminacjach, pojechali i udało im się nawet dotrzeć do ćwierćfinału. W nim zostali jednak rozbiti przez Niemców 0:4 i „Boski Diego” w niesławie pożegnał się z posadą. W wywiadach twierdził, że został „oszukany” i „zdradzony”, bo zaproponowano mu, żeby został, ale kazano wymienić cały sztab kadry.

Ostatnie lata życia Maradony to „powolne samobójstwo” - tak to określił jeden z jego lekarzy. Wycieńczony latami wyczynowej gry w piłkę, alkoholem i narkotykami organizm coraz częściej się buntował, a pierwsze pogłoski o śmierci Diego pojawiły się już w 2018 roku. Sam je zdemontował, krzycząc do dziennikarzy: „żyję skur**syny! Czuł się jednak i wyglądał coraz gorzej. Nie tylko fizycznie, bo mówił się, że cierpi na depresję.

Gdy w swoje 60. urodziny pojawił się na stadionie trenowanego przez siebie od roku Gimnasia y Esgrima La Plata, nie był w stanie samodzielnie chodzić. Prowadzili go asystenci. „Szedł, jakby miał połamane kolana i gliniane stopy” - opisywała jedna z gazet. W listopadzie przeszedł operację usunięcia krwiaka z mózgu...

Żałoba zapanowała nie tylko w Argentynie, bo na ulice wyszli również mieszkańcy Neapolu, paląc znicze pod murałem upamiętniającym ich idola na placu w dzielnicy Quartieri Spagnoli. Burmistrz Luigi de Magistris ogłosił w środę, że klubowy stadion Napoli zmieni nazwę „San Paolo” na „Diego Armando Maradona”. Hołd zmarłemu składają piłkarze. Ci obecni i ci z przeszłości. Między innymi Gary Lineker, strzelec bramki dla Anglii w tamtym pamiętnym meczu.

„Z perspektywy czasu to najlepszy zawodnik mojego pokolenia i prawdopodobnie najlepszy w historii. Miejmy nadzieję, że po błogosławionym, ale niepokojnym życiu, w końcu znajdzie pocieszenie w rękach Boga. #RipDiego” - napisał.

Dziennik Bałtycki
www.dziennikbaltycki.pl

DZIENNIK BAŁTYCKI
Adres redakcji: Targ Drzewny 9/11, 80-894 Gdańsk, tel. 58 300 33 00, faks 58 300 33 03

Redaktor naczelny Mariusz Szmidka, 58 300 33 00, m.szmidka@prasa.gda.pl

Zastępca redaktora naczelnego Bogdana Wachowska, 58 300 33 33, b.wachowska@prasa.gda.pl

Sekretarz online Patrycja Kłos, 797 001 038, patrycja.klos@polskappress.pl

Szef grupy produkcyjnej video Tomasz Kubik, 502 499 023, t.kubik@prasa.gda.pl

Publicystyka Dariusz Szreter, 502 499 027, d.szreter@prasa.gda.pl

Wydarzenia Mariusz Lesiński (Tygodnik Trójmiasto), 502 499 036, m.lesiński@prasa.gda.pl

Ekonomia Jacek Klein, 502 499 026, j.klein@prasa.gda.pl

Rejsy/Kultura Gabriela Pewińska, 502 499 020, g.pewinska@prasa.gda.pl

Magazyn na Weekend Małgorzata Gradkowska, 502 499 039, m.gradkowska@prasa.gda.pl

Sport Adam Mauks, 502 499 035, a.mauks@prasa.gda.pl

Łączność z Czytelnikami 58 300 33 41

Poradniki, dodatki i edukacja Kamila Kubik, 514 800 986, k.kubik@prasa.gda.pl

Multimedia Kamila Benke, 58 300 33 22, k.benke@prasa.gda.pl

Prezes oddziału Polska Press w Gdańsku Wiktor Pilarczyk, 58 300 31 00

Biuro reklamy Joanna Gwiazda-Kozłowska **Biuro ogłoszeń** (nekrologi, kondolencje), 58 300 32 17, 58 300 32 11

Kolportaż Monika Bednarek, 58 300 03 6 15 **Biuro konkursów** 58 300 31 75

Prenumerata 58 728 08 17. Prenumeratę można także zamówić za pośrednictwem urzędów pocztowych i w internecie

e-wydanie: online.dziennikbaltycki.pl

DRUK Polska Press sp. z o.o. Oddział Poligrafia 85-058 Bydgoszcz, ul. Warszawska 13; tel. 52 322 62 01, fax 52 552 41 41

Polska Press sp. z o.o. Oddział w Gdańsku należy do Grupy Wydawniczej Polska Press

© © - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artyku-le, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.dziennikbaltycki.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

REDAKTOR PROWADZĄCY WYDANIE Dariusz Szreter

Polskie Badania Cytelnictwa
PBC
POLSKIE BADANIA CYTELNICTWA

Nakład Kontrolowany ZKDP
BALIA LITERYCZNA
NADZORSTWO JĘZYKOWE

POLSKA PRESS GRUPA

WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o., ul. Domanińska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10 **Prezes zarządu** Dorota Stanek **Wiceprezes zarządu** Dariusz Świąder **Członek zarządu** Paweł Fajara **Członek zarządu** Magdalena Chudzikiewicz

Dyrektor artystyczny Tomasz Bochenński

Dyrektor marketingu Sławomir Nowak, slawomir.nowak@polskappress.pl

Dyrektor zarządzający biura reklamy Maciej Kossowski, maciej.kossowski@polskappress.pl

Dyrektor kolportażu Karol Wlazło, karol.wlazlo@polskappress.pl

Agencja AIP kontakt@aip24.pl

Rzecznik prasowy Joanna Pazio, tel. 22 201 44 38, joanna.pazio@polskappress.pl